TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

No. 23 Rok I. | Nowy Jork, 20 czerwca — New York, N. Y., June 20, 1943 | Cena 10ct.

DZIŚ W NUMERZE:

Zdzisław Czermański, Ludwik Honigwill, Z. S. Klingsland, Jan Lechoń, Irena Lorentowicz, Józef Liwski, Ryszard Ordyński, Ernest Reiss, Kazimierz Wierzyński.

Uroczystości Kopernikowskie w Stanach Zjed.

(WYWIAD Z PROFESOREM STEFANEM MIERZWĄ)

Uroczystości z powodu 400-lecia śmierci polskiego astronoma są bodaj najwspanialszym w dziejach hołdem, złożonym przez Stany Zjednoczone polskiej kulturze. Szczególnie dzisiaj, w najcięższych chwilach, jakie każdy Polak przeżywa w obecnej wojnie — z głęboką radością obserwujemy manifestacje na cześć polskiego genjusza, odbywające się we wszystkich miastach i wszystkich instytucjach naukowych Ameryki. Było więc rzeczą naturalną, że pomyśleliśmy o tym, który był inicjatorem i sprężystym organizatorem tych manifestacji, tak szczególnie dziś dla sprawy polskiej pożytecznych — o dyrektorze Fundacji Kościuszkowskiej, profesorze Stefanie Mierzwie. Zastaliśmy p. Mierzwę w jego zacisznej, zatłoczonej po sufjt książkami pracowni przy 151 East 67ej ulicy w Nowym Jorku. Ze zwykłą sobie rzeczowością i prostotą pełną humoru, profesor Mierzwa wszedł odrazu "in medias res".

— Przychodzę do pana profesora, by u samego źródła dowiedzieć się nieco szczegółów o pracach, że tak powiem, zakulisowych, które doprowadziły do realizacji uroczystości Kopernikowskich.

— Co wam mogę więcej powiedzieć prócz tego co już było powiedziane? Co do obchodu w Carnegie Hall, to "Tygodnik Polski" w sprawozdaniu pt. "Kopernik naprawdę uczczony" powiedział zda się wszystko z punktu widzenia widza i słuchacza. A gdybym chciał opowiedzieć wszystko co mnie interesuje, wypełniłbym wam kilka numerów "Tygodnika" i jeszczeby pozostało dosyć materjału na książkę — względnie na Album Pamiątkowy o Koperniku. Album jest już zresztą w stadjum przygotowania.

Zacznę raczej od tego co się do książki w języku angielskim z powodów zrozumiałych nie nadaje, o motywach i ideach przewodnich obchodów Kopernikowskich, a przedewszystkiem — od siebie.

Chcąc mnie obdarzyć komplementem, ludzie wprawiają mnie w dobry humor, gdy mówią, że miałem szczęście, albo że jestem "specem" od Kopernika, nawet że mam mieć rzekomo jakieś genjalne zdolności organizacyjne. Nic podobnego. Wy w Polsce mówicie: "Nie święci garnki lepią", a my na to mamy anglosaski ekwiwalent: "1% inspiration and 99% perspiration".

— Kiedy mniejwięcej powstała myśl urządzenia tych obchodów, boć przecież ich trudna strona organizacyjna wymagała niewątpliwie wiele mozołu i wielu czasu na przygotowania?

— Idea obchodów Kopernikowskich powstała jeszcze przed wojną gdy przygotowywałem książkę "Great Men and Women of Poland". Przypadkiem dowiedziałem się, że w dniu 24 maja 1943 r. (czyli za pięć lat) przypadnie 400-lecie śmierci Kopernika i ukazania się jego wielkiego dzieła "De Revolutionibus". Przedtem wiedziałem tylko tyle o Koperniku, że "wstrzymał słońce, wzruszył ziemię, polskie wydało go plemię"—i basta. Od tego czasu zacząłem przygotowywać różne plany, z początku w najogólniejszych zarysach. Zbierałem w tekach każdy świstek papieru, każdy wizerunek, każdą wzmiankę o Koperniku, na którą się natknąłem. W korespondencji z uczonymi amerykańskimi przypominałem im o nadchodzącym 400-leciu, by mieli tę datę w pamięci, by każdy coś ze swej strony w miarę możności zrobił. Wszystkie kontakty jakie "Fundacja Kościuszkowska" zdołała nawiązać w ciągu swego istnienia od roku 1925, były mobilizowane i na rzecz tej rocznicy eksploatowane. Od września 1942 r. zaczęła się intensywna i prawie niepodzielnie w tym kierunku skoncentrowana praca.

— Jakie motywy kierowały panem profesorem przy podjęciu tej pracy?

— Odpowiem w paru punktach dlaczego tyle wagi przykładaliśmy do obchodów, dlaczego wpakowaliśmy tyle entuzjazmu, fanatyzmu, pracy, zdrowia, nawet sporo grosza na niezbędne wydatki?

1. Celem zasadniczym Fundacji Kościuszkowskiej jest zaznajamianie Amerykanów z dorobkiem kultury polskiej.

2. Kopernik, według mego zdania i z punktu widzenia amerykańskiego, jest kamieniem węgielnym całego tysiąclecia nauki i kultury polskiej. Inni wielcy Polacy to ludzie na skalę narodową, może nawet i międzynarodową, ale Kopernik to postać na skalę globalną — to jeden z wielkich genjuszów całej ludzkości.

3. Narodowość Kopernika była w literaturze anglosaskiej strasznie zabazgrana i zależało nam na tem, aby wyrobić mu na reszcie paszport polski.

4. Nie łudziliśmy się wcale tem, że naukowy świat amerykański samodzielnie i samorzutnie bez inspiracji i bez organizacji, zabierze się do obchodów Kopernikowskich. Ten świat nazbyt zajęty jest swemi własnemi sprawami, by pamiętać o innych. W najlepszym wypadku mogliśmy się spodziewać, że uczelnie amerykańskie połączą od niechcenia 400-lecie śmierci Kopernika z 300-leciem śmierci Galileusza i 300-leciem urodzin Sir Issac Newton'a. W rzeczywistości stało się tak, że tylko w kilku uniwersytetach wspomniano o tych dwóch ostatnich przy okazji obchodu 400-lecia Kopernika. Przynajmniej tym razem nie byliśmy na szarym końcu.

5. Po wybuchu wojny cel Obchodów Kopernikowskich stał się poniekąd również sprawą utylitarną. Osobiście tak mi się zdawało jeszcze w jesieni roku 1939 że wojna skończy się w jesieni 1943, poczem przyjdzie konferencja pokojowa i dla sprawy polskiej na konferencji pokojowej nie bez pożytku będzie świeża pamięć obchodów Kopernikowskich.

Może te kalkulacje okazały się płonne (konferencji pokojowej w tym roku pewnie jeszcze nie będzie), ale sytuacja sprawy polskiej obecnie jest zato tego rodzaju, że przypomnienie światu amerykańskiemu o 400-leciu Mikołaja Kopernika okazało się na czasie. Przypomnieliśmy światu, że Polska należy do cywilizacji zachodniej, że tej cywilizacji coś dała, że ten Zachód jednak coś Polsce zawdzięcza.

Cel obchodów Kopernikowskich był potrójny:

1. Aby cały amerykański świat naukowy uczcił Kopernika w 400-letnią rocznicę jego śmierci.

2. Aby go uczcił nietylko jako wielkiego genjusza ludzkości, ale jako wielkiego Polaka.

3. Aby go uczcił tak, jak dotychczas nie był uczczony żaden genjusz cudzoziemskiej narodowości — prócz oczywiście Shakespear'a.

— W jakim stopniu udało się wszystkie te cele zrealizować?

— Mimo, że z powodu wojny uczeni i uczelnie nie funkcjonują normalnie, wszystkie te cele były i są nadal pomyślnie realizowane.

Jeżeli uwzględnimy rozległość terytorjalną Ameryki, ilość obchodów, w wielu wypadkach ich ciężar gatunkowy, różnorodność narodowościową społeczeństwa amerykańskiego, technikę radja, tak ilość jak i poziom artykułów redakcyjnych w prasie codziennej oraz ilość artykułów w czasopismach naukowych — stwierdzić można, że Kopernik jest tak czczony obecnie na całym kontynencie amerykańskim, jak nigdy dotychczas w jakimkolwiek kraju — nie wyłączając nawet jego rodzinnego kraju, Polski.

Nie będą się wdawał obecnie w dowodzenie tego śmiałego twierdzenia. Gdy wyjdzie z druku duży tom jubileuszowy o Koperniku, mam nadzieję z końcem bieżącego roku, a będzie on zawierał wszystkie fakty, panowie przekonają się, że nie jest to przesada.

Kopernik jest czczony w Ameryce nietylko jako Polak, podnoszone są przytem jego zasługi w różnych dziedzinach pracy naukowej i społecznej — ze szczególnem podkreśleniem jego zasług jako obywatela, męża stanu i żołnierza w walce z krzyżactwem, z germanizmem, z przodkami współczesnych nazistów. Wiele, nawet ogółowi Polaków nieznanych faktów, zostało wydobytych na światło dzienne.

Nie był to przypadek. Jak powiedział Roosevelt swego czasu: "We planned it that way". Subtelne, poboczne sugestje zostały nadspodziewanie — dzięki wyjątkowej sytuacji, — podchwycone i uwypuklone. Kopernik stał się współwłasnością narodu amerykańskiego.

— Jakim okolicznościom przedewszystkiem należy zawdzięczać wyjątkowy sukces tych obchodów?

— Zaczęliśmy się przygotowywać zawczasu i wszystko co się dało przemyśleć, zostało przemyślane i ściśle realizowane. Były oczywiście rozczarowania np., nie uzyskaliśmy naczelnych sieci radjowych na transmisję głównego obchodu w Carnegie Hall. Wszystko było na dobrej drodze, ale w ostatniej chwili popsuło się. Nie chcieliśmy pójść na kompromis i transmitować program Kopernikowski na sieci radjowej o mniejszem zasięgu niż ogólno krajowym. Tajemnicą powodzenia był przedewszystkiem materjał informacyjny, zredagowany na czas (co u Polaków nie często się zdarza) i rozesłany w dostatecznej ilości po całej Ameryce. Tomik o Koperniku z wielobarwnym rysunkiem Szyka, utrzymany w tonie rzeczowym i pod względem graficznym estetycznie wydany, miał nakład w różnych oprawach (broszurowej, płóciennej, skórzanej, twardo-papierowej etc.) 22,90 egzemplarzy. Z tego zgórą 10,000 poszło gratisowo do rektorów kolegjów i uniwersytetów, astronomów i dyrektorów obserwatorjów astronomicznych, do różnych dziekanów i profesorów, którzy mieli przemawiać na obchodach Kopernikowskich lub je organizować, do radjo-komentatorów, do naczelnych redaktorów wszystkich dzienników amerykańskich, do różnych t. zw. "special column writers", do najwybitniejszych uczonych, do "book review editors"— w U. S. A., w Kanadzie, w Ameryce Południowej i innych krajach zagranicznych. Pozatem rozesłano zgórą 10,000 egzemplarzy innej literatury informacyjnej — w formie odbitek krótszych artykułów informacyjnych, komunikatów prasowych, różnych listów cyrkulacyjnych oraz instrukcji odbijanych na kalce. Do tego dochodzi z górą 2,000 listów indywidualnych i około 500 sztuk materjałów ilustracyjnych, dostarczonych prasie i czasopismom naukowym. Między innemi dotarliśmy z materjałem informacyjnem o Koperniku do wszystkich superintendentów szkół publicznych i parafjalnych w całych Stanach Zjednoczonych w liczbie około 4,000 egzemplarzy.

— Czy pan profesor zdołał już zebrać statystyczne fakty dające pojęcie o rozmiarach tych obchodów w Stanach Zjednoczonych?

— Obchody Kopernikowskie odbywają się w dalszym ciągu w całym kraju i odbywać się będą do końca bieżącego roku. Mam np. zaproszenie od Akademji Umiejętności w Waszyngtonie aż dopiero na listopad. Jedno już napewno wiemy. Unicestwiliśmy całkowicie próby propagandy niemieckiej. Artykuły redakcyjne, okolicznościowe artykuły kolumnistów, przemówienia mówców radjowych, nawet prace w czasopismach naukowych — czerpały z materjału informacyjnego polskiego.

Otrzymujemy teraz stosy wycinków prasowych z całego kraju z opisami uroczystości i z artykułami o Koperniku. Listy i sprawozdania nadal napływają. Zeidzie kilka miesięcy zanim to wszystko będzie należycie uporządkowane.

Narazie możemy tylko powiedzieć, że obchody Kopernikowskie odbyły się lub są projektowane w kilkuset wyższych uczelniach amerykańskich, w uniwersytetach, kolegjach, instytutach badań naukowych i stowarzyszeniach naukowych w liczbie od 300 do 500.

W wielu miastach obchody Kopernikowskie odbyły się w szkołach wszystkich stopni i typów.

W wielu wypadkach ogłoszono konkursy z nagrodami za najlepsze wypracowanie o Koperniku, tak wśród studentów w uczelniach wyższych, jak i dla dziatwy szkolnej polskiego i niepolskiego pochodzenia.

Siedmiu gubernatorów stanów wydało proklamację, wyznaczając dzień 24go maja jako "Dzień Kopernika". Znane mi są dotychczas następujące stany, gdzie taka proklamacja była wydana: New York, Massachusetts, New Jersey, Pennsylvania, Michigan, Illinois i Wisconsin. Jak się zdaje jest ich więcej i z czasem dowiemy się o tem. Wreszcie, wielu majorów miast i rad miejskich uchwaliło święcić 24go jako "Dzień Kopernika".

Wszystkie amerykańskie planetarja urządziły pokazy i odczyty na cześć Kopernika, a mianowicie: Hayden Planetarium w New Yorku (gdzie było w ciągu miesiąca 30,000 widzów-słuchaczy), w Springfield, Mass. (gdzie jedyne planetarjum w Ameryce "domowej roboty" zbudował Polak, Franciszek Korkosz), Adler Planetarium w Chicago, Fels Planetarium w Filadelfji, Buhl Planetarium w Pittsburghu i Griffith Planetarium w Los Angeles, California.

Wszystkie czasopisma astronomiczne w U. S. A. i w Kanadzie poświęciły numer majowy lub czerwcowy Kopernikowi, albo też zawierały naczelne artykuły o Koperniku.

O ile chodzi o prasę amerykańską uderzyła mnie nadzwyczaj duża ilość artykułów redakcyjnych, poważnych, przemyślanych, dla Polski przychylnych. Epigramat polski — "Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię," przetłómaczony na język angielski był często powtarzany. Wszędzie prawie podkreślany był fakt, że Uniwersytet Kopernika w Krakowie jest zamknięty, że polscy uczeni są więzieni i prześladowani — ale że taki naród, który dał światu Kopernika, zginąć nie może i nie zginie. Polska znów będzie wolna. Prawie zawsze artykuły te szydziły z Niemców, że wogóle przyszło im na myśl, by zgłaszać pretensje do Kopernika, który nazwał ich "złodziejami i rabusiami".

— Jakie są najbliższe projekty Fundacji Kościuszkowskiej?

— Przygotowujemy do druku duży tom o Koperniku, w którym wszystkie ważniejsze momenty obchodów 400-lecia będą utrwalone i potomności przekazane. Ten tom zawierać będzie rozszerzony życiorys Kopernika, przemówienia na obchodzie w Carnegie Hall, memorjały i depesze hołdownicze, jakie otrzymaliśmy z różnych części kraju, kompletny spis prac Kopernika we wszystkich językach wydany, spis miejsc, gdzie się znajdują egzemplarze pierwszego wydania "De Revolutionibus" z roku 1543. W Ameryce jest ich aż 15. Pozatem, wszystkie ważniejsze prace o Koperniku, spis instytucyj naukowych, które urządziły obchody Kopernikowskie, z podaniem programów i mówców, bibljografję wszystkich ważniejszych artykułów w prasie i w czasopismach naukowych, teksty proklamacji gubernatorów stanów, ważniejsze artykuły in exstenso, z innych tylko wyjątki, przemówienia w Kongresie Stanów Zjednoczonych o Koperniku itd.

Całość pomyślana jest w ten sposób, że książka będzie dokumentem świadczącym, jak cywilizacja kontynentu amerykańskiego uczciła w roku 1943 zasługi dla ludzkości Kopernika — Polaka.

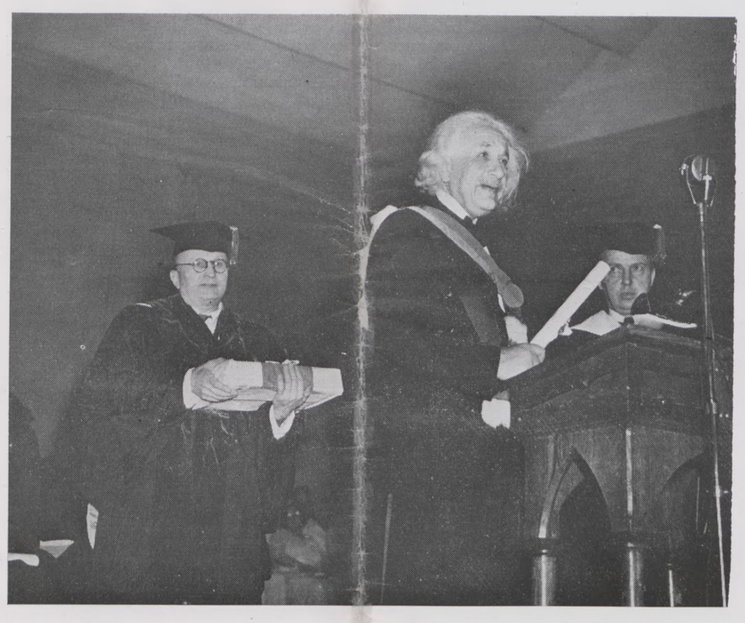

Albert Einstein, przemawiający na uroczystości kopernikowskiej w Carnegie Hall w dniu 24 maja (obok z lewej strony prof. Stefan Mierzwa)

"I repeat the unquestionable truth that Poland is the test of justice and of sincerity of British, American and Allied war aims."

"Powtarzam tą niewątpliwą prawdę, że Polska jest probierzem sprawiedliwości i szczerości celów wojennych Wielkiej Brytanji, Ameryki i Aljantów."

(*Kardynał Hinsley*)

JAN LECHOŃ

ARJA Z KURANTEM

Smutek taki mnie chwycił, że zda się, aż skonam,
Ani przed kim się żalić, kto wie kiedy minie,
Gdybyż to było można usiąść przy kominie
I czytać sobie stare wiersze Syrokomli!

I marzyć, jakbyś pocztą wędrował podróżną,
O owych lasach, rzekach, tych dworach, tym zdroju,
I myśleć, że są wszyscy w przyległym pokoju,
Od których ciągle listów wyglądasz napróżno.

Cóż znajdę, jeśli wyjdę takiego wieczoru?
Tu wszyscy przecież obcy i każdy gdzieś śpieszy,
Ach, żadna mnie muzyka dzisiaj nie pocieszy,
Chyba "Arja z kurantem" ze "Strasznego dworu"!

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Współczesna literatura polska na emigracji

III.*

Kończąc z poezją naszej emigracji rozglądamy się z pewnem zakłopotaniem za powieścią, krytyką i dramatem. Niestety pola te jeszcze nie obrodziły upragnionym owocem.

W wielkim stylu krytyki, jak w gruncie rzeczy nie było w Polsce, tak niema na emigracji. Mało tego, niema właściwie recenzji o książkach. Muszę się przyznać, że poza niewielkiemi wzmiankami, nie czytałem żadnego eseju o poezjach Balińskiego czy Słonimskiego, a przecież ich książki zyskały sobie wielką poczytność. Nie jest to stan normalny, bo na emigracji przebywają ludzie, którzy mieli coś do powiedzenia w krytyce, żeby wymienić takie nazwiska, jak Grabowski, Wittlin, Terlecki, Lechoń, Kosidowski, Lednicki, Kridl Mitana, Pruszyński, Bogusławski, obaj Zbyszewscy, Ludwik Krzyżanowski, Estreicher.

Dramat pozyskał sztukę Choromańskiego, rozgrywającą się w oblężonej Warszawie, dwa patrjotyczne utwory Cwojdzińskiego, "Piąta kolumna" i "Polska podziemna," (nacechowane jego talentem do dialogu, o kilku wstrząsających scenach lecz jednak skrępowane założeniami popularyzatorskiemi, co z pewnością nie wyczerpuje ambicji tego świetnego komedjopisarza), "Tu jest Polska" Herminji Naglerowej, sztukę której nie znam, i dobry jednoaktowy obraz J. M. Wróblewskiego p. t. "Droga na Zachód," drukowany w "Wiadomościach Polskich."

W powieści niedalekie czasy powinny przynieść niejedną książkę, narazie jednak panuje tam pustka. Wittlin, którego nie mogę już indagować, bo wiem, że i tak męczą go wyrzuty sumienia, milczy wytrwale. Istnieją ciekawe fragmenty powieści Zahorskiej, bardzo piękne ustępy pamiętnika liryczne go ogłosiła Kuncewiczowa, ale niesposób mówić o fragmentach prozy tak jak się mówi o fragmentach potyckich. Powieść Nowakowskiego "Rikszarz warszawski" jeszcze, zdaje się, nie wyszła. "Po chłopsku" Pietrkiewicza jest powieścią świadczącą zarówno o talencie autora, jak i o nieopanowaniu rzemiosła powieściopisarskiego, ponieważ zaś pochodzi z czasów przedwojennych, nie może być zaliczona do dorobku emigracji, mimo że ukazała się przed dwoma laty w Londynie. Choromański, przebywający w Brazylji, przygotowuje pono dużą powieść, Jerzy Kossowski ma w tece, jak mówią, gotowy rękopis, słuchy chodziły też o powieści młodego Bogusława Kuczyńskiego o wrześniu 1939, wydanej w Bukareszcie i tłumaczonej potem na język włoski.

Piękną i pożyteczną książkę o "Eskadrze 303" napisał Arkady Fiedler. Jest to historja wzięta z powietrza londyńskiego, w którem rozegrał się decydujący bój o wolność świata w 1940 roku, pierwsza klęska najazdu niemieckiego i pierwsze zwycięstwo wolności, rozstrzygające o dalszym oporze. Fiedler, który jest mistrzem miniatury beletrystycznej, co podziwialiśmy także w pięknych opisach Madagaskaru, opowiada o bohaterskiej walce Polaków zwięźle i serdecznie, prosto i wiernie, nie wychodząc poza swój relacyjny charakter. Autor ograniczył w tym celu zapewne sporo swojej inicjatywy pisarskiej i świadomie zrezygnował z wielu możliwości, zyskał natomiast to, co chciał — czystość opowiadania, i dał dokumentarne świadectwo prawdzie. Książka ta jest w swej dziedzinie arcydziełem naracyjnem i gdy przybędzie kiedyś do kraju, przypadną do niej niewątpliwie wszystkie oczy i dusze.

Był czas, kiedy po emigracji szeroko potoczył się odgłos powieści Ksawerego Pruszyńskiego p. t. "Droga wiodła przez Narwik." Powitana żywo w Londynie, otoczona namiętnością polemik, wydawała się zdaleka nam nieznającym tej rzeczy, jakby krzykiem pisarza i żołnierza, który z pobojowisk ciepłych jeszcze od walk zawołał o nowego polskiego człowieka. Bliższe poznanie książki uprzytomniło nam omyłkowość tych wrażeń, a teraz powtórna próba ustalenia bliższych z nią związków skończyła się dość chłodnem rozstaniem.

Największym mankamentem tej powieści jest to, że nie jest powieścią. Przeżyty materjał nie został w niej zobjektyzowany — oto główna przyczyna złego. Nad cały splot akcji, w której motyw szpiega wydaje się niewiarogodny, nad obraz idei i charakterów, wybija się nie osobowość lecz poprostu osobistość autora. Ponieważ wiemy, że był on uczestnikiem opisywanych walk, a niedość oddziela się to od beletrystycznego stylu opowieści, nigdy nie jesteśmy pewni, jak przyjąć jego relację. Pewne fragmenty czytamy jak powieść, w której zadużo jest pamiętnika, inne jak pamiętnik, w którym zadużo jest powieści, przerzucamy się raz w tę, raz w tamtą stronę, co daje w sumie bałamutne wrażenia. W końcu gdy następuje kulminacja opowiadania i gdy ginie bohater, przyjmujemy to dość obojętnie, bo jesteśmy pewni, że z poległego podchorążego Czeczela wyjdzie żywy (Bogu dziękować) i o wiele nam bliższy podchorąży Pruszyński.

Ideowe powietrze książki wydaje się zmącone jakimiś postronnymi czynnikami, w wielu polemicznych wypadkach natrafia się na coś w rodzaju urazu. Bo o co właściwie chodzi tym "nowym ludziom" kładącym swe kości za Polskę na dalekiej Północy? W powieści niema żadnego procesu duchowego, któryby odpowiedział na to pytanie jakimkolwiek istotnym przełomem. Jest natomiast szereg persyflażów i uszczypliwości, aż wreszcie pod koniec książki ta niewyrażona rewolta precyzuje swój dość prymitywny program w bardzo retorycznem kazaniu kapelana. Narodzi się w Polsce nowa moralność — zapowiada on — nowy stosunek człowieka do człowieka i nowa legenda. "W nowej armji — mówi ksiądz do żołnierza — nie będziesz nigdy mięsem żołnierskiem szafowanem bez uwagi i bez pamięci lecz jedynie elementem najcenniejszym, poświęcanym celowo, potrzebnie, mądrze." Nowa legenda "ukocha tych co byli najmniej szumni, a najbardziej ofiarni." "Ona najzasłużeniej udzieli swych awansów i najsurowiej degradacje wymierzy. Ona nieomylnie zasługi oceni i bezzawodnie przypnie wstęgi swych odznaczeń."

Jeśli nawet za temi słowami kryją się jakieś dotkliwe doświadczenia frontowe Pruszyńskiego, czyż program ten starczy za wizję nowej Polski? Czy kilka tych powiedzeń o nie najszczęśliwszej alegorji, choć niewątpliwie o słusznej tendencji, może kogokolwiek zadowolić?

Nie wiem, może są to moje przywidzenia, a może zawód pokładanych w tej książce nadziei. Trudno jednak zaprzeć się przekonania, że rozwiała się powieść, rozwiał się nowy człowiek a został tylko dokument czasu, o co zresztą chodziło autorowi, sądząc z komentarza umieszczonego na wstępie. Nie potrzebuję dodawać, że książka ta mająca wiele miejsc świetnie napisanych, raz jeszcze utwierdza nas w pewności o wybitnym talencie autora, choć dowodów na to nikomu chyba nie trzeba.

Pruszyński daje nam sposobność by przejść do końcowych rozważań o piśmiennictwie emigracyjnym, a mianowicie do literatury politycznej. Jest ona najżywsza dziedziną obecnego pisarstwa obok poezji, co może wydać się zaskakującem zestawieniem, ale tak właśnie jest i tak w naturalnym przebiegu rzeczy być powinno. Dział ten jednak wymagałby specjalnego omówienia, przyczem zmuszałby interpretatora do wyjścia poza ramy, które przeznacza tym zebraniom Polski Instytut Naukowy, symbolizujący wysiłek sine ira et studio. Dlatego zdając sobie sprawę z uszczerbku, jaki poniesie jedna z najważniejszych części mego tematu, uważam za stosowne pominąć charakterystykę tła politycznego i omówienie ideowe dzieł z tej dziedziny a poprzestać na ich przedstawieniu, konstatacjach i komentarzach literackich, które poczynić można już obecnie, powierzając ostateczne rozstrzygnięcie sądów czasowi i nieuniknionej w nim walce.

Pruszyński w publicystyce politycznej należy do najpłodniejszych i choć nie jestem pewien, czy z wielu jego możliwości wybór ten uznać wypada za najszczęśliwszy, w niej właśnie wyżywa się najpełniej. Jeśli wolno się tak wyrazić, Pruszyński jest bardziej publicystycznym impresjonistą, niż politycznym pisarzem. Temperament, wybuchowość i żarliwość dyskusyjna, słowem skala namiętności zajmuje w nim to miejsce, które u klasycznego statysty przeznaczone jest na argumentację i zdobywczość idei. Sięgając często dalekich horyzontów i mieszcząc w tych obszarach rozmaite pejzaże myślowe, Pruszyński nie znalazł, jak mi się zdaje, dla nich ostatecznej struktury, której budowa pomnożyłaby piśmiennictwo emigracyjne o bogaty, ciekawy i nieznany obraz.

Bujną aktywność pisarską rozwinął mistrz młodości Pruszyńskiego, Stanisław Mackiewicz, autor dwu sporych książek i szeregu broszur. Najwybitniejszym wśród nich dorobkiem jest wizerunek Rzeczypospolitej na przestrzeni 20 lat, nazwany przez autora nie bez poczucia metafory literackiej "Historją Polski." Książkę tę, świetnie pisaną i dającą się czytać jak romans, porównał autor w 18-ym jej rozdziale do pracy malarza minjaturzysty. Nie zdaje mi się, by określenie to było najtrafniejsze. Jest to raczej sprawozdanie teatralne z 20 lat dramatu. Mackiewicz pisze o teatrze losów z lekkością sprawozdawcy. Ludzie obchodzą go jak aktorzy, ideje jak fabuła, życie jak kompozycja. Kilka dobrych lat, podczas których przesiadywałem w krześle recenzenta teatralnego, pouczyło mnie, że istotą tego zawodu jest sztuka improwizacji krytycznej. Sąd, z którym chciałoby się przespać kilka nocy, trzeba wygłaszać nazajutrz, nieomylność należy mieć w kieszeni jak program teatralny. Historja Mackiewicza jest recenzją z naszych dziejów, pisaną daleko poza polskim teatrem, który runął w gruzy, ale pisaną tak na gorąco, jakby jutro już było zapóźno.

To co się dało uchwycić na gorąco, wyszło w niej najlepiej. Mam na myśli przedewszystkiem charakterystyki ludzi, takie szkicowe a mistrzowskie portrety jak Marjana Zdziechowskiego, Sławka, Składkowskiego, Cara, i bardzo impresjonujące wspomnienia jak np. karty poświęcone słynnemu rozkazowi Piłsudskiego po zamachu majowym, które są swego rodzaju arcydziełem.

Rozprawie brak jednak zasadniczej tezy historycznej jak i syntetycznego podsumowania zjawisk, co minionemu 20-leciu nie dało perspektywy, autora zaś nie doprowadziło do sądów historjozofa.

Z pisarskiego punktu widzenia książka ta, jak i wszystko co wychodzi z pod pióra Mackiewicza, jest w pewnym stopniu balzakowskim fenomenem: mianowicie wskazuje jak niezbyt pielęgnowany a miejscami nieczysty język przeradza się pod wpły-

Dokończenie na str. 2-ej

*) Odczyt wygłoszony w Polskim Instytucie w Nowym Jorku.

(Dokończenie ze strony 1szej)

Współczesna literatura polska na emigracji

wem natężenia naracyjnego w styl fascynujący i atrakcyjny od pierwszej do ostatniej strony.

Rzeczą, która wywołała największe dotychczas poruszenie z pośród wystąpień publicystycznych, była "Wolą Polski" I gnacego Matuszewskiego. Ogłoszona w londyńskich "Wiadomościach Polskich" spowodowała istną lawinę listów do redakcji, opublikowanych potem w tem piśmie. Jako broszura ukazała się po polsku w Anglji, w Ameryce i w Palestynie, w przekładzie angielskim w Londynie i w Nowym Jorku, gdzie nakład jej sięgnął kilkunastu tysięcy egzemplarzy, w tłumaczeniu na język hiszpański w Buenos Aires.

Z pośród wszystkich prac Matuszewskiego skupiła ona jak w soczewce najistotniejsze jego ideje i — co jest szczególnie pocieszające przy naszej niewybrednej kulturze politycznej — znalazła drogę zrozumienia na obu skrzydłach podziału partyjnego, wśród pewnych ugrupowań lewicy i prawicy. Spowodowana, jak autor wspomina, wystąpieniem Times'a londyńskiego, wychodzi daleko poza granice repliki politycznej, określa okcydentalizm cywilizacji polskiej, daje charakterystykę dziejowości, toczącej się po obu stronach ziem naszych, i umacnia prawa odrębnego typu życiowego Polski Jej polemiczna strona poparta jest programem pozytywnym a z przedstawionych w nim postulatów najgłówniejsze wejdą w pewnością do polskich celów wojny.

Rozprawa Matuszewskiego acz opiera się na precyzyjnym przewodzie logiki, główną siłę dowodzenia czerpie z szerokich konfrontacyj historycznych, śród których ustępy o wspólnocie europejskiej wnoszą do argumentacji rzuty historjozoficzne i tony humanizmu. Ten styl umysłowy mógłby spotkać się podczas poprzedniej wojny z pokrewnym, gdzieś nad Lemanem, gdy nad to jezioro emigrantów wychodził Askenazy lub Kucharzewski, odkładający pióro historyków, by wyrazić uwagi i myśli polityków.

Stanisław Strzetelski wydał w Londynie rzecz pod zbyt może zwodniczym tytułem "Goering poluje na łosie." Jest to głównie w feljetonowej formie, bardzo płynnej w czytaniu, zarys ostatnich lat polityki polskiej, pomyślany tak, żeby dostępny był również cudzoziemcowi. Okazało się to pożyteczne, bo adaptacja amerykańska znalazła szybko czytelnika i żywe uznanie w prasie. Zwłaszcza okres bezpośrednio z przed wybuchu wojny przedstawił Strzetelski niezwykle plastycznie; wracamy do niezapomnianych dat i wypadków jakby to był nasz własny pamiętnik. Nie poprzestając na obrazie przeszłości autor dał po nim pełne perspektyw rozważania o przyszłym powojennym świecie, o naturze narodów i federacji, słowem o sprawach, które niepokoją zarówno utopijnych marzycieli jak i polityków.

Żałuję, że nie znam książki Henryka Tennenbauma "Europa środkowo-wschodnia w gospodarstwie światowem" ani Mieczysława Szerera rozważań o Anglji p. t. "Naród w parlamencie," które są z pewnością ciekawem dopełnieniem zbioru feljetonów bardzo zdolnego pisarza Zbigniewa Grabowskiego p. t. "Anglja nieznana," pisanych przed emigracją i potem dopiero wydanych. Zdaję sobie sprawę, że uchodźmej uwadze wiele innych książek, nie do zdobycia w Nowym Jorku. Cóż na to poradzić! Hitler czego nie może spalić, topi lub usiłuje zatopić, a książki przy takiem ryzyku podróżują niechętnie.

Przechodząc do fragmentów dostępnych z pism, głównie "Wiadomości Polskich," które kiedyś będą najbogatszą biblioteką obecnych czasów, wypada wymienić przedewszystkiem cykl rozpraw krytycznych Adama Pragiera o Wellsie. Angielski wynalazca postawy duchowej, którą ośmieliłbym się ochrzcić jako homo scientificus, nawiązując do kuzynostwa z tworem, zwanym homo economicus, równie sztucznego pochodzenia, dawno powinien był znaleźć tak inteligentnego, spokojnego i dokładnego interpretatora, jak Pragier. Spodziewać się można, że Pragier ukończy podjętą pracę i da nam ciekawy rozbiór niewydarzonego reformisty.

Żywem echem odbijają się zawsze rozważania i przemówienia Adama Ciołkosza, którego wspaniały artykuł "Za waszą wolność i naszą," zapisał się nazawsze w pamięci czytających. Było to jedno z pierwszych wystąpień wiążących politykę P. P. S. na uchodźtwie z wielką linją jej bohaterskiej przeszłości, tym polskim romantyzmem niepodległościowym, wychowawcą pokoleń.

Z feljetonu do publicystyki przeszedł Zygmunt Nowakowski, który zdobywa w niej tony ogólnonarodowe i staje się herold em całych odłamów emigracji. Sprawiedliwość wymaga by zaznaczyć, że temperamentowi tego gorącego patrjoty znacznie bardziej odpowiada postawa polemiczna niż jakakolwiek inna, niemniej kilka jego wystąpień stało się głosem sumienia naszych czasów.

Nie można przemilczeć jeszcze doskonałych uwag Zbigniewa Grabowskiego o demokracji, przenikliwych rozważań, jak np. "Kompleks władzy" Stefanji Zahorskiej, czujnej obserwatorki, której niejako specjalnością staje się obyczajowość polityczna, socjologicznego studjum Terleckiego o emigracji i kilku wystąpień publicystycznych Łukasiewicza, Filipowicza, Mundsteina, Haleckiego, Kucharzewskiego, Pragiera, Grossa, Rembielińskiego, Szczepańskiego, **Wragi, Stanisława** Kowalskiego, Juljusza Nagórskiego syna i Górki.

Mój niedokładny filmowy obraz twórczości emigracyjnej, prawdopodobnie pełen przeoczeń, za które przepraszam i napewno omylności, która pozostanie mą winą— dobiega końca.

Byłby on krzywdzący, gdybym nie zwrócił uwagi na jeszcze jeden, ostatni jej wyraz. Jest nim literatura nie-literatów, piśmiennictwo tworzone przez żołnierzy. O poezji ich wspomniałem poprzednio — pozostaje jeszcze proza i ona to wymaga własnego dla siebie miejsca. Z wyjątkiem porucznika Herberta, pod którego pseudonimem ukrywa się utalentowany pisarz z przed wojny, i Bohdana Pawłowicza, nieznane nam były przedtem nazwiska Bolesława Pomiana, Eryka Sopoćki, Stefana Majewskiego, Stefana Gązla, Jerzego Gębockiego, Zygmunta Bohusza-Szyszki, czy innych, których podpisy spotykamy pod opowieściami z ich bojów. W tej wojnie nie grozi nam to, co zaszło po 1920 roku, kiedy z bojów całego narodu, piśmiennictwo poza "Wyprawą kijowską" Kadena wróciło do domu z pustemi rękami.

Zanim jeszcze nasi zawodowi prozaicy podeszli do tematów wojennych, zjawili się niejako pisarze-ochotnicy — i to jacy! Miałem sposobność zapoznać się z kilkoma pracami tego rodzaju, gdy były jeszcze w rękopisie i zdumiała mnie swada pisarska ich autorów, trafnie dobrany ton, o co tak trudno, i wogóle niespodziewane znawstwo praw pióra. Będzie to radosnem świadectwem naszej kultury i jej przenikania, że obrodziła nagle tam, gdzie mało kto się spodziewał, nie wyłączając zainteresowanych.

Istny urodzaj pisarski panuje śród lotników. Gdy czytam np. opowiadania Jerzego Głębockiego z jego pierwszego lotu bojowego, a potem z wyprawy na Bremę, oba drukowane w "Polsce walczącej," skarbnicy tej literatury, albo porucznika Herberta o nalocie na Osnabrueck, nie wiem co podziwiać: sprawozdawczą precyzję opowiadania, jego prawdomówność czy dramatyczność, słowem stronę literacką opisu, czy też charakter autorów, który mimowolnie przebija się przez te utwory i w gruncie rzeczy jest właściwym bohaterem przedstawianych epizodów.

Ta przejmująca lektura wzrusza nas tem bardziej, że jest w niej powtórzone jakgdyby bicie serca wojny. Ostrzelani tam w podniebiu, rzucani podmuchami śmierci, za każdym razem niepewni czy wrócą, ci niepojęci ludzie, którzy siądą potem przy biurku, by spisać wszystko co przeżyli — sami są żywą wolnością, walką i rozstrzyganiem naszych losów, którem my żyjemy. W prostych ich opowieściach jest jakiś wstrząsający patos, prawda i wielkość nie do naśladowania.

Przenieść tego ducha do sztuki wznieść się jeszcze wyżej, ponad pamiętnikarski i relacyjny ale jednak pomnikowy charakter tych rzeczy, na to trzeba czegoś więcej niż szczęśliwej improwizacji pisarskiej. Próby te podejmuje Bolesław Pomian, lotnik i wybitnie utalentowany pisarz, który dał nam kilka nowel i nowelizujących opowiadań i sięgnął w nich wysokości bliskiej arcydzieł. Piękne opowiadanie w tym stylu napisał również C. J. Kączkowski.

Nazwiskami tych żołnierzy którzy odkładają broń, by darzyć nas koleżeństwem po piórze, niech będzie mi wolno zamknąć moje rozważania.

"Poezjo, łaskiś pełna!" — powtarzamy wszyscy, którym los pozwolił w tych czasach odgadywać i tworzyć ruchy dusz ludzkich. Świadomi zadań ponad siły, podejmujemy swą pracę, sądząc może złudnie, że w walce, która toczy się równie zażarcie na ziemi, w powietrzu i na morzach, jak w ludzkich umysłach i sercach, obronimy prawdy najważniejsze dla nas wszystkich, mimo wszystkich naszych różnic.

Nie kusząc się o syntezę piśmiennictwa emigracyjnego, co wydaje mi się odpowiednie powtórzyć raz jeszcze w odczycie korzystającym z przywileju impresji, można jednak stwierdzić, że w piśmiennictwie tem niema większej troski niż myśl o zmianie i polepszeniu świata, co może stać się tylko przez zmianę i polepszenie człowieka. Przynależni do cywilizacji Zachodu, która, mimo wszelkich słabości i błędów, jest jedynem źródłem możliwego dla nas życia, bronimy w niej jakby samej prawdy istnienia, zagrożonego dziś na całym obszarze, poczynając od zasad chrześcijańskich a kończąc na naszym obyczaju. Wiemy że wszystko poczęte jest z ducha i tylko w duchu zacząć może swoją odmianę. Z Mickiewiczowskich zasad nic nie uległo do dziś przedawnieniu.

Literatura nasza ma swoją chorągiew wzniesioną przed wiekiem ponad życiem polskiem i polską twórczością. Pod znakiem tym zgromadzeni myślimy o naszych kolegach i przyjaciołach w kraju Z pośród nich zginęli: Szymański, Czechowicz, Mostowicz, Birkenmajer, Hulewicz, Piasecki i zapewne jeszcze inni, zmarli zaś z udręki, wyczerpania lub nagle: Tetmajer, Lorentowicz, Berent, Karpiński i umęczony w obozie koncentracyjnym Boy Żeleński, o ile przemoc i odległość nie skryła przed nami dłuższej listy tych bolesnych strat. Los żyjących, los przymusowego milczenia i prześladowań, wobec których nasze bezpieczeństwo wydaje się przewiną, tem jaskrawiej uprzytamnia nam nasze obowiązki.

Muzy i duchy przewodnicze, pozwólcie nam sprostać zadaniom i stanąć bez spuszczonego czoła przed ludźmi, którzy nam zaufali, przed ideami, których mianujemy się głosem, przed światem walczącym o wolność i dobro, i przed Polską, matką naszą boleśniwą i bohaterską, której godnymi uczyńcie nas synami.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

JÓZEF LIWSKI

Wanda Wasilewska

W chwilę niemal po zerwaniu przez Rosję stosunków dyplomatycznych z Polską, Wanda Wasilewska wygłosiła w Moskwie przemówienie radjowe.

Nawiązując do ostatnich wydarzeń, w imieniu tak zwanego Związku Polskich Patrjotów, zwróciła się do wszystkich Polaków w Związku Sowieckim, aby "zachowali się z godnością, jak prawdziwi obywatele". Przy całym swym tupecie nie miała Wasilewska odwagi, aby dokończyć tego zdania. Nie miała odwagi, zwracając się do polskich uchodźców w Rosji, powiedzieć, — ..."jak prawdziwi obywatele sowieccy"; nie śmiała przemawiając z urzędowej stacji rosyjskiej, powiedzieć — ..."jak prawdziwi obywatele polscy". Nie chciała też niewątpliwie tego powiedzieć, bo nadal uporczywie dopomaga władzom sowieckim w nazrucaniu ludności polskiej obcego obywatelstwa, które sama chętnie przyjęła w chwili, kiedy Polska broniła się jeszcze przed Niemcami.

Wasilewska posiada duży "talent", talent zaskakiwania opinji publicznej swemi wystąpieniami w momentach, w chwilach, kiedy, pod wpływem nowych wypadków politycznych, ogół nie zdaje sobie jeszcze dokładnie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje. Wyrazem tego "talentu" jest również jej ostatnie przemówienie. Szło w niem nietyle o objęcie "rządu dusz" nad całem polskiem uchodźtwem w Rosji, Wasilewska zdaje sobie bowiem dokładnie sprawę, że jest to niemożliwe, ile — o stworzenie pozorów zagranicą, że Związek Polskich Patrjotów ze swym prezesem naczele staje się jedynym pełnoprawnym przedstawicielem i opiekunem ludności polskiej w ZSSR po wyjeździe ambasadora Rzeczypospolitej. Tem tylko można wytłumaczyć tupet, który pozwolił Wasilewskiej na rozpoczęcie jednego z ustępów przemówienia od słów: "W imieniu Związku Patrjotów Polskich zwracam się do wszystkich Polaków w Związku Radzieckim..."

Stało się to zresztą nie po raz pierwszy. Nie poraz pierwszy Wasilewska zaskakuje Polaków i nie po raz pierwszy korzysta z tych samych metod propagandowych. Identycznie to samo zdarzyło się 17 września 1939 r. i 30 lipca 1941 r. (zawarcie porozumienia polsko-sowieckiego).

"Prawo powrotu do kraju zdobywa się walką i pracą. Walką i pracą musimy wykazać nasz patrjotyzm i naszą polskość" — oto dalsze słowa z wyżej już cytowanego przemówienia. Warto jest zastanowić się przez chwilę nad działalnością Wasilewskiej i uprzytomnić sobie, w jaki to sposób wykazywała ona w ciągu ostatnich trzech i pół lat swój "patrjotyzm i polskość".

Niemal na drugi dzień po zajęciu przez wojska sowieckie wschodnich ziem Polski, wśród uchodźców i miejcowej ludności rozeszła się wiadomość, że niejaka Wanda Wasilewska przeszła na stronę okupanta. przyjęła obywatelstwo ukraińskie (!) i wstąpiła od armji czerwonej w stopniu majora czy pułkownika. Wkrótce potem, kiedy zaczęły się przygotowania do "wyborów do Zgromadzeń Narodowych" ukazywać się zaczęły przemówienia Wasilewskiej w pismach rosyjskich, na ulotkach, w których występowała ona w imieniu ludności ukraińskiej i propagowała przyłączenie do ZSSR "Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi". Równocześnie propaganda sowiecka zaczęła głosić urbi et orbi, że "największa polska pisarka" zrozumiała "interes mas ludowych" i idzie ręka w rękę z komunistami ukraińskimi. O Polsce, o ludności polskiej nie mówiono niemal wcale. Nie było ani śladu dzisiejszych przemówień Wasilewskiej naszpikowanych gęsto tanim patrjotyzmem i ciągłem powoływaniem się na Żołkiewskiego i Batorego, na Staszyca i Kołłątaja. Była tylko "Radianska Ukraina" powiększona o Małopolskę Wschodnią. Jakże zresztą mogło być inaczej. Wypadki wrześniowe i październikowe rozgrywały się na tle sojuszu niemiecko-sowieckiego, na tle przyjaźni niemiecko-sowieckiej, w chwili, kiedy obaj sojusznicy tworzyli linję Ribbentrop-Mołotow, dzielącą Polskę, pomiędzy Niemcy i ZSSR. W tym właśnie momencie Wasilewska rozpoczęła swą współpracę z władzami sowieckiemi. Już wtedy wiedziała o bestjalstwach niemieckich w Polsce, o terrorze, o obronie Warszawy, o miljonach bezdomnych rodzin, o rodzicach, którzy szukali swych pogubionych czy może zabitych dzieci, o dzieciach pozbawionych opieki rodzicielskiej. Widziała Lwów w październiku 1939 r., tak jak widział go każdy uchodźca polski, którego los tam zagnał. Widziała jak codziennie zjawiały się tam nowe rzesze uchodźcze i opowiadały o niemieckiem barbarzyństwie. Czy odezwała się wtedy Wanda Wasilewska? Czy wygłosiła choć jedno przemówienie, czy ogłosiła drukiem chociaż jeden artykuł o niemieckich bestjalstwach? Nie, Wasilewska zajęta była wtedy sprawą rozbiorów Polski, pomagała swym nowym przyjaciołom, swemu przyszłemu mężowi Aleksandrowi Kornejczukowi w układaniu nowej linji podziału Polski. Kiedy przedstawiciele rządu sowieckiego razem z Gestapo oblewali alkoholem "dojście do porozumienia", że linja Bugu a nie Wisły stanowić będzie "granicę niemiecko-sowiecką", Wasilewska brała udział w paradzie z okazji rocznicy rewolucji październikowej na Krasnoj Płoszczadi i z uśmiechem dawała się fotografować i filmować sprytnym propagandzistom sowieckim.

Pomyślmy przez chwilę, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby Hitler nie napadł na Rosję. Wasilewska pozostałaby po dzień dzisiejszy Quislingiem i to Quislingiem podwójnym. Nie pisałaby wzruszających powieści o terrorze niemieckim na sowieckiej Ukrainie, nie ukazałaby się historja bohaterskiej wsi ukraińskiej, którą opisała w swej "Tęczy". Nie wolno byłoby jej pisać o rychłem uwolnieniu Polski przez Armję Czerwoną i spokojnie musiałaby się przyglądać jak Polska Żółkiewskiego i Batorego cierpi w podwójnej obręczy niemiecko-sowieckiej.

Przyszła jednak wojna Hitlera ze Stalinem, ale co najważniejsza zawarte zostało porozumienie polsko-sowieckie. Porozumienie to przyszło w momencie, kiedy odwieczny wróg Polski napadł również na Rosje. Porozumienie to było ofiarą i przebaczeniem. Kiedy nie wszyscy jeszcze rozumieli wielkość tej ofiary, Wasilewska nie pomogła; nawet wtedy jeszcze nie było w niej ani śladu "patrjotyzmu i polskości". Kiedy zaś mnożyć się zaczęły komplikacje, kiedy coraz trudniej było utrzymać normalne współżycie z Rosją, Wasilewska, znowu z obcego rozkazu, tworzy Związek Polskich Patrjotów, aby szerzyć niesnaski i podważać zaufanie do legalnego Rządu Polskiego.

Kiedy 25 kwietnia, 1943 r. Polacy w ZSSR zostali zaskoczeni notą sowiecką o zerwaniu stosunków z Polską, Wasilewska niezwłocznie wykorzystała ten moment. Oprzucając inwektywami i słowami brutalnej napaści Rząd Polski, chce równocześnie stworzyć pozory, że kogoś lub coś reprezentuje. Wtedy dopiero, czy na krótko przedtem, zaczęła się powódź słodko-mdłego i taniego patrjotyzmu. Idąc śladami swych nauczycieli powoływać się zaczyna na bohaterów Polski, tak jak oni powołują się na historyczne postacie rosyjskie. Chce "reprezentować" miljonową rzeszę uchodźców polskich w ZSSR.

Tymczasem nietylko, że nie reprezentuje miljonów, ale nawet nie potrafi utrzymać przy sobie małej, zabłąkanej garstki, którą od trzech i pół roku, na rozkaz obcy, w imię obcych interesów prowadzi na manowce.

W tym samym numerze "Wolnej Polski", w którym wydrukowano przemówienie radjowe Wasilewskiej, znajduje się artykuł o smutnej treści i jeszcze smutniejszym tytule: "Co dalej?" Wynika z niego, że nawet współpracownicy Wasilewskiej zgubili siebie samych na quislingowskiej drodze renegatów. Wynika z niego nietylko chaos moralny ale i chaos prawny.

"My z Warszawy, Łodzi, Lublina, Śląska Poznania jesteśmy w tej chwili obywatelami radzieckimi..." — czytamy w tym artykule i zaskakują nas swym tragizmem słowa "w tej chwili". Nawet więc współpracownicy Wasilewskiej pośrednio przyznają, że narzucono im obce obywatelstwo, że są oni tylko "w tej chwili" obywatelami sowieckimi, że myślą o powrocie do kraju, że chcą do niego powrócić i już nawet nie mówią (z artykułu możnaby nawet wnioskować, że przestają myśleć) o "siedemnastej republice sowieckiej". Zdani na łaskę i niełaskę protektorów Wasilewskiej trwożnie pytają "co dalej?" i ostrożnie wspominają "o ciosach i rozczarowaniach", które musieli w ciągu minionego okresu przeżyć.

Wydaje się, że szumna nazwa Związku Polskich Patrjotów staje się powoli bezwartościowym instrumentem propagandy sowieckiej, wydającym pusty dźwięk. Nie wiemy, może niektórzy pupile Wasilewskiej poszli już tak daleko, że nie widzą możliwości odwrotu, że nie mają już drogi powrotu. Faktem jest jednak niewątpliwym, że szerokie rzesze uchodźców są za Polską, a nie za Wasilewską, że zerwanie stosunków dyplomatycznych przenosi ich znowu w okres wrześniowy, w okres więzień i deportacji.

Nadejdzie niewątpliwie chwila, kiedy otworzą się drzwi do ojczyzny i wrócą do niej wszyscy, bez względu na to jaki "w tej chwili" paszport będą posiadali. Paszportem bowiem będzie wtedy "patrjotyzm i polskość", ale nie ten fałszywy patrjotyzm Wasilewskiej, lecz prawdziwa polskość spadkobierców Wielkiej Emigracji Wasilewska zostanie wtedy sama. Odtrącają ją bowiem nietylko jej dawni rodacy, którzy już nie walką, lecz rzetelną pracą budować będą gmach polskiej wolności, odtrąci ją również chłop ukraiński, który rzetelnie bronił swej ojczyzny przed hordami hitlerowskimi. Tu leży tragizm Wasilewskiej, tragizm kłamstwa. Nie było w niej szczerości, kiedy broniła "patrjotyzmu i polskości", było zakłamanie, kiedy na rozkaz władców Wszech-Rosji rzekomo broniła praw wsi ukraińskiej.

Zostanie sama i nieraz z pewnością stanie jej przed oczami obrazek z własnego życia, który stał się symbolem zakłamania jej słów i jej czynów.

Przypomni sobie, jak krótko po wypadkach wrześniowych, przed dom jej we Lwowie zajechały dwa samochody: jeden — wytworna limuzyna, drugi — wóz ciężarowy. Z pierwszego wysiedli agenci Gestapo i oddali jej małą córeczkę, którą sprowadzili z Warszawy, z drugiego — zaczęto wynosić całkowite umeblowanie jej dawnego prywatnego mieszkania.

Dzięki przemożnej protekcji swych sowieckich opiekunów i ich przyjaźni z Gestapo, Wasilewska odzyskała córkę i meble.

Potem mogła już beztrosko przyglądać się tragedji rodzin polskich pod okupacją niemiecką i nieproszona opiekować się losem ukraińskiego chłopa.

RYSZARD ORDYŃSKI

JĘDRUŚ-LITERAT

(OPOWIADANIE)

Wszystko zaczęło się od Cudaka i potargranych portek. Cudak, syn słynnej na całą Warszawę Banany i bardzo ekskluzywnego Jimma, właściwie psi wnuk pani ministrowej Zaleskiej, jako młody szczeniak uważał podwórko w domu na Kanonji za swoje dominjum i atakował nowicjuszów podwórka, o ile mu się nie podobali.

Jędrek Olejak i jego biedne wytarte portczyny były między innemi ofiarami mojego skyeterriera. Rezultatem były odwiedziny Jędrka u mnie na trzeciem piętrze. Chłopak nie chciał się mścić na Cudaku i nawet wzbraniał się przed przyjęciem pewnego tak słusznie mu się należącego odszkodowania. Wyznał mi, że pies go bynajmniej nie przeraził a do domu tego wchodzi od czasu do czasu, bo tu bywają "różni ważni panowie."

Kanonja wogóle była punktem zaciekawienia dla wszelkiego typu gawiedzi, gdyż przybywający do Katedry na wszelkie uroczyste i oficjalne nabożeństwa dostojnicy zajeżdżali samochodami na Kanonję i wchodzili przez zakrystję od Kanonji do kościoła.

Rysunek Ireny Lorentowicz

Ale jak się dowiedziałem od Jędrusia, nasz dom nie dla tych względów był jego faworytem. Fakt, że tu mieszkał jeszcze do niedawna Or-Ot, że tu "mieszka ten pan Antoni Bogusławski, wojskowy i poeta, co pisze w Kurjerze" i że do tego domu od czasu do czasu przychodzą różni znani literaci, miał dla mojego młodego przyjaciela znacznie większy blask niż złote szlify i fraki lub cylindry dygnitarskie.

—Wczoraj był u pana pan Lechoń, a potem przyszedł pan Słonimski i pan Tuwim i pan Wierzyński.

Dziwił się, że ci poeci chodzą w okularach, a tylko "pan Tuwim nie ma żadnych okularów, ale ma za to myszkę na twarzy." Nie bardzo się domyślałem, jak ten malec te wartości wyrównywał, ale byłem na prawdę zdumiony, kiedy mi zaczął recytować cały szereg wierszy tych "panów poetów."

Jędruś kochał literaturę i miał niezwykłą pamięć. Z "Wiernej Rzeki," która była najukochańszą jego prozą powtarzał czasem całe stronice wiernie je pamiętając. Z "Pana Tadeusza" umiał doskonale na pamięć połowę pierwszej Księgi, z dalszych najpiękniejsze części opisowe, puszczy, poranków, znał całe stronice z "Kłótni," sposiedź Jacka i całą dwunastą księgę. Ubóstwiał Koncert Jankiela, który słyszał kiedyś deklamowany na jakiejś Akademji i przyznaję, że miał deklamując go niektóre nowe dla mnie i bardzo trafne akcenty. Może na ilość wierszy umianych na pamięć nie dorównywał Anatolowi Muhlsteinowi, ale wnioskując z szybkości, z jaką się uczył, mógł w kilka dni wykuć całego Pana Tadeusza na pamięć.

Okazało się, że mnie znał, że mnie od dłuższego czasu obserwował i że chciał kiedyś dowiedzieć się odemnie czegoś bliższego o tych z moich przyjaciół, których nazwiska literackie były mu bliskie i nieraz drogie. Przytem jednak nie posiadał nic z banalnej ciekawości, nie chciał nigdy poznawać osobiście tych "wielkich współczesnych pisarzy," był bardzo zakłopotany, gdy przypadkiem z którymś z nich się zetknął. Kiedy Jędruś miał lat 14 przyniósł mi pewnego dnia swój pierwszy utwór literacki. To jest pierwszy, który mi pokazał, bo wiem, że pisywał od małego ale nie chciał nigdy o tem nawet wspominać a zagadany odpowiadał z wielką pogardą o tych swoich "bzdurach."

Przez te trzy lata naszej znajomości a właściwie przyjaźni, widywałem Jędrusia co najmniej raz **na tydzień.** Przychodził do mnie zwykle w sobotę około południa. zjadał ze mną obiad i opowiadał mi o tem, co robił w szkole i co czytał. Od czasu do czasu przychodziła z nim jego starsza siostra Walerka, bardzo ładna ale bynajmniej niepodobna z upodobań do swego braciszka. Walerka przychodząc do mnie rzucała się odrazu na rozmaite miesięczniki ilustrowane, ubóstwiała zagraniczne, amerykańskie numery Vanity Fair i zachwycała się portretami gwiazd filmowych Ale kochała brata bardzo czule, mając zarazem szacunek dla jego wysokich ambicji kulturalnych. Ona to zdradziła mi, że Jędruś napisał utwór " o tym wielkim muzyku."

Nie pamiętam czy kiedyś czytałem coś bardziej wzruszającego jako czystość uczucia, niż tę krótką powiastkę Jędrusia pod tytułem "Ostatnia Wola." Naiwność i bezpośredniość emocjonalna tych kilku kartek wystarczyła za najbardziej szkolony kunszt pisarski.

Rysunek Ireny Lorentowicz

Była to ujęta w opowieść scena pożegnania Chopina przy rogatkach wolskich z przyjaciółmi, którzy ofiarowali mu w szkatułce ziemię polską, tak mu drogą. Pamiętam jeszcze kilka zdań z tej pełnej natchnienia nowelki, pisanej zresztą doskonałym językiem. W mojem mieszkaniu paryskiem, jeżeli kiedy je wogóle odnajdę, mam zachowany ten piękny utwór pióra Andrzeja Olejaka. Snują mi się w pamięci takie **urywki:**

..."Ziemia wyraża siłę a jej zapach daje piękność naszego kraju. Ten kraj opuszczać tak smutno — a jednak ten Genjusz nie może tu pozostać, nie może się narażać na kule nieprzyjacielskie. Kraj go wysyła dzieci tej samej Matki drobnemi ziarnkami tej ziemi z sobą zespolone dają Ci, wielki Wieszczu tonów tę oto grudkę łzami pożegnania zlepioną, biedną z pozoru ale sercami bogatą, co Ci je tu przyniosły.... Chopin nie odpowiedział ani jednem słowem — w jego uścisku, oplatającym ich wszystkich były słowa bólu — ale i słowa nadziei.... Idzie sam, w obcy sobie świat, tęsknić nie przestanie nigdy.... Miłość kraju rodzinnego, miłość każdego Polaka — to jest jak wiecznie powtarzająca się ofiara Krwi i Ciała Pańskiego na ołtarzu Chrystusa. Ale nie może się ona kończyć tylko łzą wspomnienia, jej najdoskonalszym wyrazem jest: Czyn..."

Jędruś za największy przywilej uważał, że mu pozwalałem o każdej porze dnia przychodzić do mnie, a gdy mnie nie było, miał prawo brać sobie książki z półek, czytać, robić notatki. Moja gospodyni, Marja, wiedziała o tem i chętnie go zawsze wpuszczała do mieszkania a Cudak zaprzyjaźnił się serdecznie z młodym literatem. Jędruś interesował się literatami, którzy u mnie bywali z osobistego punktu widzenia, bo ich ubóstwiał, gdyż chciał wiedzieć, jak wyglądają żywe postacie jak gdyby z książek swoich wprost w normalny świat przeniesione i do niego przemawiające. Chciał ich widzieć na fotografji i wiedzieć, że ten pan to jest Makuszyński a ten np. Iwaszkiewicz, i lubił te znajomości z widzenia lub z fotografji grupowej przyjaciół Tuwima, zeniały razem z tomami ich dzieł półki, które mu jego ojciec sam na swoim warsztacie stolarskim wyciął i sporządził.

Naturalnie ubóstwiał Wieniawę, z zapałem lubił odcyfrować nazwiska osób z fotografji grupowej przyjaciół Tuwima zebranych u mnie na wieczorze z powodu jego nagrody literackiej miasta Łodzi. Było na niej wielu jego faworytów, więc darowałem mu osobną odbitkę, którą powiesił sobie nad łóżkiem i z dumą popisywał się przedemną pamięcią, że "pan Tuwim siedzi na podłodze a pan Lechoń ma zamknięte oczy na fotografji" albo, że " z profesora Askenazego widać tylko czubek głowy lub że Boy musiał głowę wsadzić między tych, co się pchali naprzód."

Dla Jędrusia te osoby były jakby figurami z Jasełki, królami i Herodami, dla jego marzeń o przyszłości niezmiernie ważnemi. Bo jednak Jędruś chciał koniecznie być pisarzem i niewątpliwie miał talent formowania swoich myśli u tak młodego chłopca zadziwiający. Z poczuciem dyskrecji literackiej i w obawie przed przesadą pytał się mnie, pisząc o Woli i Chopinie, czy miłość do kraju może być symbolizowana niekończącą się nigdy, dzień w dzień powtarzającą się mszą św.

Gdy trochę podrósł, czytał też "Łukasińskiego" Askenazego i co tydzień od deski do deski "Wiadomości Literackie" Lubił nawet czytać artykuły, których zrozumienie było dla niego niedostępne — ale lubił się borykać z nowemi pojęciami i nowemi formami literackiemi.

Po śmierci Piłsudskiego, która była dla Jędrka wielkiem przejściem osobistem, Jędrek zaczął się wczytywać ze szczególną uwagą i przemyślaniem w historję polską. Pożerał monografje o Batorym, Kościuszce, pasjonował się, jak każdy młody literat, do osoby Napoleona. Toteż pierwszym jego utworem na większą skalę miała być powieść historyczna. Miały to być dzieje młodego chłopca, urodzonego w dniu Niepodległości Polski i wychowywanego przez dziadka i matkę, żyjących jeszcze tradycją dawnych czasów. Za moją poradą pracował naprzód nad planem konstrukcyjnym tej swojej powieści. Te jego szkice bardzo mnie interesowały. Podziwiałem w nich chęć odejścia od szablonów, jakkolwiek nie były one wolne od wpływów Kraszewskiego w formowaniu fabuły a Żeromskiego w kreśleniu obrazów natury zespolonej z człowiekiem. Sienkiewicza, którego cykl historyczny ubóstwiał, jak gdyby pominął w poszukiwaniu wzorów. Ideałem dla niego była zawsze "Wierna Rzeka" i bohaterzy "Popiołów."

Kiedy myślę dziś o moim małym przyjacielu z Kanonji, mimowoli szukam wzorkiem owej fotografji, na której on sylabizował niejako swoje wiadomości z naszej literatury i sztuki, życiorysy współczesnych zasłużonych czy choćby tylko znanych w owym czasie Polaków. I widzę że fotografja ta stała się już jakby ilustracją opowieści chwilami rzewnej, tragicznej, chwilami

ZYGMUNT S. KLINGSLAND

PANI OLGA BOZNAŃSKA

Nie wiem, dlaczego ,pisząc o niej, poprzedziłem tym razem jej nazwisko słowem "Pani," czego nie uczyniłem w żadnym z artykułów, różnymi czasy po polsku czy nawet po francusku drukowanych. Napisałem "Pani Olga Boznańska" rzeczywiście mimowoli — może dlatego, że, poznawszy ją w Paryżu przed bardzo wielu laty, miałem sposobność, w osobistem z nią zetknięciu, utrwalić głęboki mój i szczery szacunek dla artystki, której malarstwo zawsze podziwiałem; może dlatego, że cała jej sztuka stanowi najzupełniej odrębny, samoistnie pełny a już prawdopodobnie zamknięty rozdział jakżeż chlubnych dziejów polskiej twórczości plastycznej nowszej epoki; a może dlatego, że "Pani Olga," uosobienie absolutnej niezaradności życiowej pozostała jeszcze bardziej osamotniona i coraz częściej słabująca, w tym dzisiejszym Paryżu, tak innym — obcym, ponurym, tragicznym Paryżu okupowanym. Co się stało z "Panią Olgą," która przecież już przed wojną tylko niesłychanie rzadko i lękliwie drobnym krokiem chodziła po ulicach Montparnasse'u, wzbudzając ogólnę sensację na tarasach kawiarnianych swoją fin-de-siecle'ową sylwetą, swojem uczesaniem, swoim kapeluszem, swoim strojem całym, wprost karykaturalnie staromodnym a z jak nadzwyczajną godnością noszonym? Co się stało z jej pracownią na Montparnass'ie, w której mieszkała od tak wielu lat i w której, pod grubą warstwą kurzu, leżały stosy "zakleksanych" tektur bronzowo-szarych — prawdziwych arcydzieł malarstwa światowego?

Olga Boznańska: Autoportret

Wiele osób niejednokrotnie usiłowało skłonić "Panią Olgę" do wyprowadzenia się z tej pracowni, fatalnej dla jej zdrowia, ciemnej, wilgotnej, brudnej i pozbawionej najelementarniejszych wygód starej rudery. Wysłuchiwała nas cierpliwie, ale o posłuchaniu mowy nawet nie było. Powód jak to często u "Pani Olgi" się zdarzało, był śmieszny a równocześnie wzruszający: uważała, iż musi opiekować się.... myszami, od których roiło się w jej pracowni i które karmiła rozmaitymi specjałami a nawet smarowała jakimiś cudownymi balsamami, kiedy dolegały im reumatyzmy, egzema czy inne choroby. "Zresztą, i Boby też byłybo przykro zmieniać mieszkanie" — a "Boby," łaciasty fox, rezydował stale na kulawej kanapie, wytrzeszczając szklane gały; "Nie mogę rozstać się z Boby — to mój najwierniejszy towarzysz, i prawda, że patrzy zupełnie jak żywy?..."

Tragiczne komplikacje życiowe wypaczyły, z biegiem czasu, w tak dziwaczny sposób uczucia "Pani Olgi," których miała ona rzeczywiste skarby. Oczywiście bowiem nie wyczerpywały ich ani chore myszy, ani wypchany Boby. Znały nieprzebraną, iście franciszkańską dobroć "Pani Olgi" wszystkie cwaniaki i słynne łaziki paryskie, unieśmiertelnione jako "polskie Ahaswery" przez Jana Lorentowicza w jego świetnem "Spojrzeniu wstecz." Przychodziło to bractwo, w pojedynkę, do pracowni artystki, opowiadało "Pani Oldze," znając jej łatwowierność, jakieś głodowo-tragiczne przeżycia, spoglądało na nią żebrząco-błagalnym wzrokiem, a wówczas, ona, u której zazwyczaj była chuda fara, sięgała po jedną z licznych swoich "tektur" i zażenowanym głosem usprawiedliwiała się: "Bardzo mi przykro, że u mnie samej tak jest krucho z pieniędzmi, ale może pan przyjmie ode mnie ten mały szkic — czyba dostanie pan za to kilka franków." I taki łazik wynosił się z jakimś przepysznym pejzażem czy "martwą naturą" pod pachą, które na kunsthaendler'skiej giełdzie kawiarnianej łatwo i korzystnie sprzedawał.

"Pani Olga" nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wielką i sławną jest ona artystką. A przecież najlepszym tego dowodem był fakt zamawiania u niej portretów przez najwybitniejsze osobistości paryskiego "high-life'u" intellektualnego. Stanowiło to bowiem probierz tem doskonalszy, że dać się portretować przez "Panią Olgę" wymagało ze strony modela wyjątkowo dużo cierpliwości a nawet i odwagi, zwłaszcza u kobiet, mających idjosynkrazję do myszy, wciąż spacerujących po całej pracowni.

Cierpliwość była warunkiem dlatego koniecznym, że portret, malowany przez "Panią Olgę" to kwestja blisko stu seansów parugodzinnych, jako naturalna konsekwencja indywidualnego jej kunsztu technicznego, ściśle dostosowanego do jej plastycznych założeń twórczych. "Pani Olga" skarżyła się kiedyś na krytyków, którzy zarzucali jej brak pierwiastku rysunkowego w kompozycjach. Tak jest, obrazy "Pani Olgi" pozbawione są rysunku w sensie jednak tylko graficznej linji, tak wszakże pojęty brak tego składnika kompozycyjnego stanowi dodatnią cechę jej nawskroś oryginalnej indywidualności wybitnie malarskiej i przedewszystkiem malarskiej,

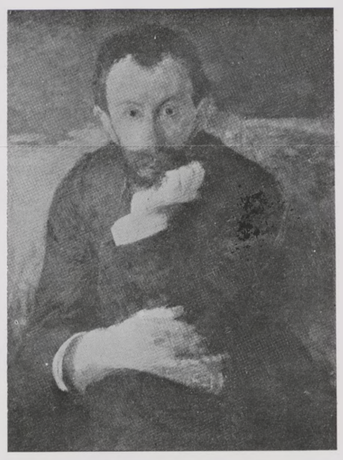

Olga Boznańska: Portret męski

czyli operującej barwą i światłem. któremi wszakże umiała rozwiązywać rysunkowe zagadnienia kompozycyjne niemniej dobrze jak pierwiastkiem linijnym.

Zrozumiałym to staje się wtedy, kiedy patrzy się, jak "Pani Olga" maluje. Łagodna, wiecznie zamyślona twarz jej nabiera przed stalugami zupełnie innego wyrazu: cienką linją zakreślone usta zwężają się jeszcze silniej, oczy badają modela ostrym, pełnym natężonego skupienia wzrokiem, z pod warstwy pudru wychodzą na policzki rumieńce gorączki twórczej. "Pani Olga" stawia sobie zadanie malarskie niesłychanie trudne i skomplikowane: przekształcenie dwuwymiarowej płaszczyzny obrazu na trójmiarową postać ludzką z jaknajmocniejszem podkreśleniem istotnych właściwości duchowych tego modela — stawia sobie zadanie stworzenia czysto umownymi środkami malarskimi plastycznej fikcji, mającej wszystkie zewnętrzne pozory rzeczywistości. Lekkiemi, drobnemi plamami barwnemi o przebogatej skali doskonale stonowanych kolorów, materjalizuje pojęcie przestrzeni powietrznej, z której wyłania się bryła portretowanego modela, tymi samymi środkami i tą samą techniką wykonana. Istotna oryginalność sztuki "Pani Olgi" polega na mistrzowskiej wręcz umiejętności zespalania w jedną całość konstrukcyjną postaci ludzkiej i przestrzeni powietrznej. Nie! to nie ma nic wspólnego z rozwiązywaniem takiego zagadnienia w obrazach Rembrandta, jego poprzedników lub epigonów, u nich bowiem pierwiastkiem, wiążącym postać ludzką z otaczającem ją tłem, nie jest światło lecz oświetlenie. Różnica jest zasadniczej natury, oświetlenie bowiem jest światłem o ściśle umiejscowionem, choć czasem niewidocznem źródle, i stamtąd promieniującem, dzięki silnym kontrastom światło-cieniowym, na resztę kompozycji malarskiej. W obrazach "Pani Olgi" natomiast jest właśnie to jednolicie i bardzo dyskretnie zabarwione światło plastycznym wyrazem powietrznej masy, która decyduje o malarskim stylu całości kompozycyjnej. Gdyby chcieć zapuszczać się w porównawcze zestawienia, to najbardziej pokrewną okazałaby się może sztuka renesansowa lombardzkiej szkoły z Leonardo da Vinci'm na czele.

Cała ta wiedza techniczna, na poziomie najwyższego mistrzostwa będąca, jest tylko środkiem do celu, twórcze bowiem przesłanki sztuki "Pani Olgi" podążają w zupełnie innym kierunku i mają znacznie głębsze podłoże. I z niemi również najlepiej zapoznać się można, przypatrując się pracy "Pani Olgi." Jest rzeczą pewną, że nie znała ona zupełnie teorji Freud'a, kiedy zaczęła stosować jego naukę przy malowaniu portretów, powodując się jedynie instynktem artystki. Wymaga ona bowiem od modela, by zabawiał ją w czasie seansu rozmową, dyskretnie skierowując ją na tory osobistych i nieraz bardzo nawet intymnych zwierzeń. "Pani Olga" słucha uważnie tych wielogodzinnych monologów, ale jeszcze uważniej obserwuje twarz i ruchy opowiadającego, który wtedy właśnie najlepiej wywiązuje się ze swoich obowiązków modela, gdyż nieświadomie i szczerze pozuje do "psychologicznego portretu," na czem artystce tak bardzo zależało.. Zmrużonym w napięciu wysiłku obserwacyjnego oczom "Pani Olgi" nie ujdzie wtedy ani jeden błysk wzroku, ani jeden grymas ust, ani jeden giest ręki... — wszystkie te spostrzeżenia chwyta w lot jej syntetyczny zmysł twórczy, by nieomylnie już kierować jej palcami, trzymającymi pędzel.

Tak powstaje, w ciągu wielu seansów, arcydzieło sztuki malarskiej — portret Pani Olgi Boznańskiej.

Oficjalna i nieoficjalna Polska uświa lomiła sobie, a to dzięki zabiegom pewnej grupy Polaków, że Pani Olga Boznańska jest chlubą sztuki polskiej, i otoczyła ją na starość opieką, zabezpieczając jej byt.

Ale co się teraz dzieje z "Panią Olgą" w Paryżu, i co się stało z jej pracownią na Montparnass'ie?!...

TEKA CZERMAŃSKIEGO

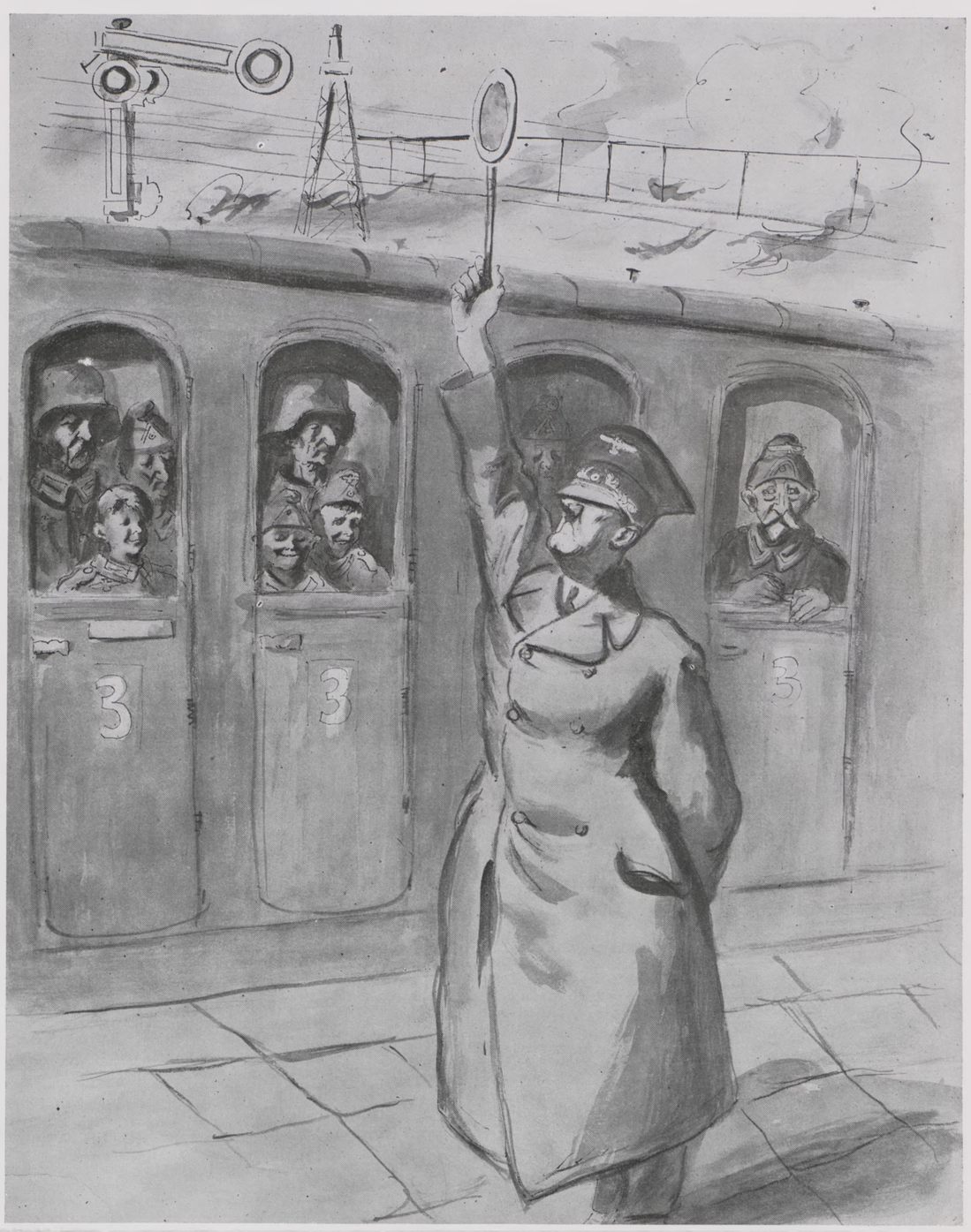

Ostatnie rezerwy Hitlera

zdaje mi się, że uśmiechnięte twarze moich gości przybrały jakiś inny wyraz, a niektórzy z nich jakby zastygli w pozach, które znamy z scen szekspirowskich w teatrze.

Jakżesz zmienił się profesor Askenazy, którego tyle razy widzieliśmy uśmiechniętego ironicznie, gwałtownemi gestami wyrażającego swoje uznanie czy krytykę dla jakichś współczesnych czy bardzo zamierzchłych wypadków? Czyż kiedykolwiek będziemy mogli, wspominając naszego drogiego Boya, wyobrażać go sobie z owym uśmiechem dziecinnym i jakże mądrym zarazem, uśmiechem zakłopotania i dobroci, tak mu właściwym? Czyż ten uśmiech nie musiał zniknąć w jego twarzy w owej największej chwili jego życia, o której nie możemy myśleć bez rozdarcia serca i uczucia zgrozy?

I patrząc na pyszną głowę Wieniawy jakżesz nie mamy wspominać boleśnie, że tutaj w Nowym Jorku któregoś dnia... ta głowa...

Myślę drogi Jędrusiu że i Twoja twarz nie często układa się teraz w ów dawny uśmiech, że zachmurzyło się Twoje czoło, że osiada w kątach Twoich ust ta troska, która ze wszystkich chłopców w Polsce uczyniła dojrzałych ludzi — a z iluż nich — bohaterów? Ale wierzę, że zmieniony jak my wszyscy, żyjesz przecież w podziemiach naszej cudownej Warszawy pełniąc służbę, której uczyłeś się z takim zapałem z kart wielkich naszych pisarzy. I wierzę że Cię zobaczę jeszcze tego dnia, kiedy Ty i my wszyscy będziemy mogli znowu naprawdę się uśmiechnąć.

A wtedy i na owej starej, ulubionej Twej fotografji zobaczymy może twarze, dziś powleczone smutkiem, takiemi, jakiemi widzieliśmy je kiedyś w dobre dni najlepszej. najdroższej Warszawy.

Rysunek Ireny Lorentowicz

ERNEST REISS

Józek - nazwisko i adres nieznane

(OPOWIADANIE)

Słońce dopiero co zaczęło wyzwalać się ze stalowych pasów obcego nieba. W Gręboszowie o tym czasie dzwonili już na Anioł Pański, Maryśka z Wojtkiem gnali po ściernisku ku domowi, unosił się za nimi zapach spalenizny i pieczonych kartofli, ojciec wracał z roboty, z lasu nad Dunajcem.

taj było **inaczej. Ani tych** woni, ani tych głosów, ani tych ludzi. Józkowi, choć to był skrzat i zabijaka jak na dwunastoletniego podrostka przystało, zrobiło się na wnątrzu luto i nieswojo. Najgorzej mierziło go tutejsze słońce, nie takie jak w Gręboszowie, wesołe, jasne, zawsze ciepłe. To słońce kłuło w oczy, a w brudnej rzece wyglądało jak rozlana krew. Statek wlókł się, sapał, czasem zipnął zgrzytliwym świstem. Ludzie, szwargocący nieznanemi mowami opierali się o poręcz, zbutwiałe drewniane pale, ledwo przymocowane do żelaznych sztachet. Gadali i gapili się na brzegi. Gapił się i Józek. Pierwszy raz od trzech tygodni to wszystko nowe nie bawiło go ani ciekawiło. Ścierniska, dzwon z kościoła Matki Boskiej i ojcowa zagroda przysłaniały mu widok brzegów zabudowanych zrzadka czystymi domami. W tej schludności i równości, jednakości i kolorach były nudne, kubek w kubek takie same. Gdzie to im się równać z chałupami w Gręboszowie! Ani śladu onej wesołości, jaka biła z pofarbowanych ścian i złotych strzech. Gdzie ta przyrównać te wielkie tutejsze sady z ogródkami pełnymi czerwonych kwiatów zaglądających do okien, gdzie tu szukać szczekania Burków i Kruczków. Inne to wszystko, nieswoje, dalekie.

— Od Njujorka całą noc zabrało botowi przyjechać tutaj, powiedział do Józka nie znajomy. Byli blisko przystani.

— A kto na ciebie tu czeka.

— Gręboszoskie ludzie . znam ich ze wsi.

— Toś ty smyżu szczęśliw! na mnie to ta nikt nie czekał, — westchnął — samem się tłukł po tych dziurach... Już będzie z dziesięć roków.

Tak zaczęła się pierwsza Józkowa znajomość z Kubą. W ten czas Kuba nie był potrzebny. Gręboszowskie ludzie naprawdę czekały. Zaprowadziły do hauzu, między bortników, młodych chłopaków, nakarmiły powypytywały się, jak tam w Gręboszowie: czy proboszcz ten sam, czy Michał już narukował, czy stara Kubosiowa, co wróżyła za szóstkę (kupa pieniędzy) żyje, czy to prawda, że karczmarz już nie borguje, czy Dunajec i na tę wiosnę zalał pola...

Józek dostał łóżko, postawił pod nim na kłódkę zamknięty kuferek. Kluczyk dał na łańcuszek z medaljonikiem. Skarbów w kufrze nie miał, tylko nowe portki prosto z Tarnowa, nowe buty i siostrzanemi rękami wyszyte koszule. Tego pilnował jak oka w głowie. O fotografje i dwie książki był spokojny. Ktoby się tam łakomił na bronzowy obraz z hurmą ludu pod kościołem? W pośrodku siedział ksiądz proboszcz, a po bokach nauczyciele, jeden jakoś z obca się zwał, Józef Haller. Dobry to był pan, nigdy nie bił, a choć Józef tabliczką mnożenia nie lubiał się kłopotać, zawsze jakoś przelazł z klasy do klasy. Książek też niktby nie ruszył; katechizm i "Historja polska dla IV Klasy — Wydanie Ossolińskich we Lwowie. Cena 50 Halerzy."

Pytania skończyły się, powiedzieli Józkowi: "Od jutra pójdziesz do roboty." Naprzód nosił polski chleb, potem rozwoził amerykańskie mleko, a jeszcze potem, na własną prośbę, chodził na tureckie kazania do szkoły. W tej hajskul pierwszy raz było mu akurat jakby głowę do ula wsadził. Tylko że ta głowa nie była do pozłoty i była na karku. Dwie silne ręce też się liczyły krzywdy nie dał sobie zrobić, tego zdzielił, tamtemu oddał. Po kilku dniach pochwycił to i owo słowo i tak, dzień po dniu, ani się nie obejrzał, jak był równy równym. Chociaż tamci może mieli lekszejsze życie, po szkole szli na futbol, na fiszink, na bajcykiel. Józek nie — Józek robił.

Ot, miejscaby trzeba a miejsca, żeby opisać, tak dokumentnie, te Józkowe pierwsze miesiące i pierwsze lata. Wystarczy powiedzieć tyle, że krajowe ludzie polubiły go, przygarnęły, chociaż sierotą nie był, a przyjechał tylko, bo miał do wyboru albo iść do seminaryjii na pana, albo do Hameryki. Kuba też zawsze dobry był i szczodry był i tak Józek przeszedł przez szkołę. Wtedy już był inny, już był lepszy od niejednego. Zaciągał, zajeżdżał, śpiewał spolska ten angielski aż się amerykanie uśmiały, ale gadać potrafił i to dobrze.

Rychło Józek przekonać się miał, że gręboszowska krew to nie mydliny! Akurat było to kiedy rodaki z Kubą uchwaliły, żeby Józka na kaledź wysłać, żeby się na lojera przyuczył. Sam Józek tego chciał, a rodaki też wiedziały, co przydałby się na miejscu jeden znaczniejszy, uczony. Cóż, tak się wykierowało, że Józka zamiast do szkół, do szpitala odwieźli. Lekarze kiwali nad chłopakiem głowami, a jeden, polski był, mówił: "Febra go roztrzęsie, gorączka zeźre." — Józkowi w piersiach grało, kłuło go, dychać nie mógł. Wysechł na patyk i już godziny liczył. Tak przez trzy roki. Był cud czy nie było cuda, ale Józek wygramolił się z tego, do nauki wrócił, lecz największą miał w szpitalu na wysokiej górze, w lasach ukrytych; tam dowiedział się, czem są rodackie serca. Proste polskie serca prostych polskich ludzi.

O tem że skończył kaledź i został lojerem, to i nawet gadać nie trzeba. Nie poszło to jak z płatka, nie! Było nieraz ciężko, bardzo ciężko, ale zawsze było między swoimi. I kto ma głowę do myślenia, ten wie co to znaczy.

Od czasu przyjazdu Józek, albo niech mu będzie tak, jak wszyscy mówią — pan adwokat, pan mecenas, zerwał kartki z trzydziestu kalendarzy; z takich samych, jak były w domu, z Kółka Rolniczego. Napisy były na nich polskie i czerwone liczby oznaczały jedno po drugiem święto polskie. Tylko że to nie jest takie ważne—ważne są te lata, trzydzieści a może i więcej. Józek o tylu mówi, a inni inaczej gadają. Że niby było ich więcej. Wszystko to przez Lilian, bo Lillian jest młodą żoną starego męża. Tak, jest młodsza o jakie dwie dziesiątki, ale spojrzeć dzisiaj na Józka (gręboszewska krew!), nie możnaby mu nawet dać tyle, do ilu się przyznaje. Lillian jest do tańca i różańca: chowa dzieci, drajwuje, sprząta, gra na fortepianie, gotuje, czyta, pierze, wzdycha kiedy patrzy na swój dyplom z juniwersyteta; Lillian jest ładna, umie się ubrać, jest gospodynią, matką, towarzyszką, doradczynią. Każdy "guy" z Polski co po ręcach całuje, mówi "ach, pani mecenasowo!" i przewraca gały i zazdrości Józkowi żony. Słusznie! jest Polką i Amerykanką, fifty-fifty, jest taka, jaką tylko tutaj można znaleźć.

Za Józka sprzed trzydziestu i iluśtam lat niktby korony nie dał. Dzisiaj rękę mu ściskają generały, ambasadory, konsule — bo teraźniejszy Józek coś znaczy, a najwięcej dla polskości. Robi i robi, krząta się, biega, organizuje zaś coś nowego, żeby trocha grosza od ludzi na Polskę wyciągnąć. A senatory, gubernatory, różne "deputy," jak widzą Józka w maszynie czy w sądzie czy na ulicy, wołają: "Hello Joe! Hawa'ya big boy?"

Amerykanie walczą za Polskę,
Polacy walczą za Amerykę
KUPUJ
AMERYKAŃSKIE BONDY WOJENNE

Rysunek Ireny Lorentowicz
KARYKATURA OLGI BOZNAŃSKIEJ

LUDWIK HONIGWILL

ODPOWIEDŹ TIMESOWI

Od p. mecenasa L. Honigwilla otrzymaliśmy, z prośbą o umieszczenie, następujący list wysłany do redakcji "New York Times" i nieumieszczony przez to pismo.

To the Editor
of the New York Times:

Mr. Pope's letter which appeared in the New York Times on May 16th, is no doubt an "all out" defense not so much of the film "Mission to oMscow" as of "Moscow's Mission" itself. I would like to call the American readers' attention to a few factual errors made in Mr. Pope's defense.

Let us first take the matter of the trials:

The world is not lacking in people ready to bear witness to the fact that Stalin's government is an absolute dictatorship. But, whether this is true or not. is beside the point. It is a known fact, however, that a great number of old regime Bolsheviks, friends and adherents of Lenin were dissatisfied with Stalin's rule and wanted a change. It would be indeed strange, nay, unbelievable if in a country with so many millions of inhabitants as Russia, no critics or opponents of the prevailing government were found. No one therefore would be surprised to learn that such a group existed in Russia and no one would distrust the accusation that in a country whose history is studded with murderous attacks upon its rulers, (the assassination of Czar Paul, the plotting of which was known to the Czar's son Alexander, the revolt of the Decabrists inflamed by the most brilliant representatives of the aristocracy, the assassination of Czar Alexander II, numerous dynamite attempts upon the life of Czar Alexander III and the last Czar Nicholas II) it is apparent that such was the tradition in Russia, hence, one can believe that this group of dissatisfied old regime Bolsheviks joined hands to connive a scheme aiming at the overthrow of the hated regime of Stalin.

But the group of Lenin's adherents were not accused of plotting against Stalin and the Soviet government. They were accused of the crime of treason and espionage for the benefit of another country, the lowest and most degrading crime a man can be accused of.

Why did the Soviet Government resort to this subterfuge?

The answer is obvious: these adversaries of Stalin — and his clique, men like Rykow, Bucharin, Piatakow. Zinowjew, Krestinski, Kamieniew and others spent years in exile with Lenin even before the first world war and during these years gained the respect, confidence and sympathy of large masses of workers all over the world. These masses, if told of this group's rebellion against Stalin's rule would not only without doubt side with them, but would admire them the more for this act.

Therefore Mr. Pope's claim that "substantial justice was rendered" is not quite exact insofar, as the verdict of the trial (be it just or unjust) was not pronounced for the crime really committed, that is for the crime of planning a coup against the government, but for a fictitious crime of treason and espionage which was rejected as untrue even by the witnesses mentioned by Mr. Pope.

Let us now proceed to the second more complicated error, the matter of the Russo-German agreement of August 23, 1939:

To justify this agreement Mr. Pope gives us two reasons: First that it was the "French-British policy of appeasement that drove Stalin into Hitler's arms", and second that "the Russo-German pact was Russia's bid for time to prepare for war that she knew was inevitable".

In answer to the first argument I wish to remind Mr. Pope that French-British Soviet conversations started only AFTER Poland refused to surrender to Hitler's demands and AFTER the Anglo-Polish treaty of mutual assistance was signed. To talk of "appeasement policy" at that late date is sheer nonsense. At that time decisive actions were needed and the Soviet government knew it.

The second point deserves more attention. It reveals that Russia had no intention to live up to the pact she was signing with Germany at the very moment of its signing. All she wanted was to "bid for time" she was signing with mental reservations... This admission sounds quite strange coming from the lips of the "Organizer and Director of the Committee for National Morale".

And now as to the method of conducting the negotiations: the Soviets conducted simultaneous negotiations with France and Britain on one side and with Germany on the other. The former were conducted openly and with fanfares in Moscow, while the latter took place secretly and under cover in Berlin. When the Russo German pact became valid, it was Russia that put an end to the other negotiations and announced the happy event to the world.

A few more words about Stalin being "driven into Hitler's arms".

A year and a half before the war a series of articles appeared in the Rusian paper "Socialistycesky Viestnik" (published in France) writen by a Mr. Krywicki, an ex-general in the Soviet army and former head of the Soviet Intelligence Service for Western Europe. In these articles Mr. Krywicki revealed that Stalin never missed a chance to convince his friends at their meetings that Germany, even Hitler Germany must be regarded as Russia's natural and best ally. Incidentally, this Mr. Krywicki was later found dead in a room in one of Washington's hotels.

And on Oct. 31, 1939 Molotow, then chairman of the Council of People's Commissars and People's Commissar for Foreign Affairs said openly: 'We have consistently striven to improve our relations with Germany and have wholeheartedly welcomed similar strivings in Germany. Today our relations with the German State was based on our friendly relations on our readiness to support German efforts for peace and at the same time on desire to contribute in very way to the development of Soviet-German economic relations to the mutual benefit of both States."

Nor is that all, Here is another proof of the Soviet government's long planned preparations for its future alliance with Germany:

The Communist party in Poland was quite numerous. It consisted of 3 branches based on geographic divisions of the country and was ruled directly from Moscow. About a year and a half before the war an order was issued by the Moscow Komintern for the dissolution of the Polish Communist Party and threatening with reprisals any attempt for its reestablishment. The order puzzled Poland not a little. Only after the Russo-German pact was disclosed, the meaning of this step became apparent. Komintern was paving the way for Hitler and ingeniously saving itself from an impending embarrassing situation: for in the Komintern's program there was a clause guaranteeing independence to each nation. Should the Communist party in Poland be alive and active at the time of Hitler's occupation of Poland, the Komintern would have been compelled to support it against the aggressor. It was much simpler for the Komintern to murder the Polish Branch with its own hands.

That's how Stalin was "driven into Hitler's arms".

May I add my remarks on two more details of Mr. Pope's letter, details of much lesser importance:

1. Lord Halifax is not the only one who does not meet invitations. Wasn't Mr. Stalin "too busy" to avail himself of Pres. Roosevelt's invitation not so long ago?

2. While it was not right for the U. S. to sell goods to Japan, the fact that the system of this country is based on private capitalism serves as a justification. Goods were sold to Japan by private businessmen. Russia, on the contrary, with her government controlled commerce could easily put a stop to the export of goods to Germany and yet she did not see fit to do so.

And when emphasizing "Russia's deep sympathy with China's struggles" and the help she sent to China, does not Mr. Pope forget to add that the Soviets had in China their own organized army and that those supplies were sent to this army? Mr. Pope knows no doubt how much this army interfered with Generallissimo's Chang Kai Shek's plans.

In closing, I want to warn Mr. Pope against the danger of broken quotations, selected at random from a selfexplaining entity; a few words serving to prove the guilt of their authors. The French historian and statesman Thiers said: "Write for me two words and I'll make them take anyone of you to the guillotine".

W POPRZEDNIM (23) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Kazimierz Wierzyński: Współczesna literatura polska na emigracji; Jan Lechoń: Manon; Zofja Bohdanowiczowa: Łąka; Jerzy Tepa: Od Weimaru do Austro-Bawarji; Anglik o "Orle"; Ernest Reiss: Edward Bohuszewicz; Irena Piotrowska: Zbroje polskie w Nowym Jorku; Józef Liwski: Sowieckie argumenty niesowieckich polityków; Opinje i zdarzenia; Listy do redakcji.

Amerykanie walczą za Polskę. Polacy walczą za Amerykę
KUPUJ AMERYKAŃSKIE BONDY WOJENNE!

The First American List Of
ROY PUBLISHERS
25 WEST 45th STREET NEW YORK, N. Y.

SQUADRON 303: The Story of the Polish Fighter Squadron with the R. A. F.
by ARKADY FIEDLER
"Polish Pilots have two speeds: — top speed and full speed. They are wonderful. I have asked for three Poles for every squadron."
British Vice-Air Marshall Cunningham
Profusely Illustrated 188 Pages **$2.00**

A HISTORY OF POLAND
by OSCAR HALECKI
The only concise, one-volume, up-to-date history of Poland available in this country, written by an eminent Polish historian.
Comprehensive map 336 Pages **$3.50**

THE MERMAID AND THE MESSERSCHMITT
by RULKA LANGER
Claimed by the critics to be **the best civilian warbook** written to date.
"Pearl Buck calls this book the Polish "Mrs. Miniver"; I think it is better than that."
Lewis Gannett, N. Y. Herald-Tribune
384 pages **$2.75**

POLISH WHITE BOOK: The German Occupation of Poland
The Polish Government here reveals information concerning Germany's terroristic behavior in occupied territories.
240 pages **$2.00**

CONRAD AND HIS CONTEMPORARIES
by JOSEPH H. RETINGER
Retinger, one of the few Poles to win the confidence of his countryman, has written a warm intimate account of the Conrad he knew.
Illustrated by FELIKS TOPOLSKI
184 pages **$2.50**

WHERE THE STORM BROKE
by STANISŁAW STRZETELSKI
A journalist and political editor of Polish newspapers tells why Poland fell.
256 pages **$2.50**

OPINJE I ZDARZENIA

LEON POMIROWSKI ZAMĘCZONY W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

Smutna wieść doszła z kraju zawiadamia nas o śmierci w obozie koncentracyjnym Leona Pomirowskiego, wybitnego krytyka literackiego i polonisty. Był on jednym z najrzetelniej pracujących obserwatorów i komentatorów naszej nowej literatury, zdobywającym sobie w ostatnich latach solidne i trwałe stanowisko w tej dziedzinie. Zyskiwał je mozolnie wytrwałym trudem umysłowym, wiedzą coraz bardziej doskonaloną, a opartą o mocne podstawy filozoficzne i estetyczne, najlepszą wolą poznania i zrozumienia. Zawiły w stylu, nie obdarzony łatwością pisarską, włożył trud niemały w doskonalenie literackiego rzemiosła i miał piękne tego trudu owoce. Jego dwie książki o współczesnej naszej literaturze pozostaną jako jeden z najlepszych, najsolidniejszych komentarzy epoki i ludzi, będą też pamiątką po szlachetnym i kulturalnym człowieku, który śmiercią męczeńską zamknął pracowite życie dobrego Polaka i odpowiedzialnego pisarza. (ls)

BOHATER POLSKIEJ PRASY PODZIEMNEJ

W londyńskiej "Nowej Polsce" z stycznia bieżącego roku ukazał się obszerny artykuł Ksawerego Pruszyńskiego, opisujący zaiste dramatyczne koleje życia pewnego polskiego pisarza, którego nazwiska ze zrozumiałych względów wprawdzie nie wymienia, ale którego z nakreślonej sylwetki nie trudno zidentyfikować. Z właściwą sobie metodą stopniowania efektów i posługiwania się ostrymi kontrastami, autor artykułu dzieli życie wymienionego literata na trzy jakoby akty i w takiem oświetleniu istotnie osiąga wrażenie wprost wstrząsające. W pierwszej części swego artykułu opisuje działalność literacką i kulturalno-społeczną owego pisarza przed wojną. Pochodził on z Wielkopolski i przeniósł się do Wilna, gdzie rozwinął niesłychanie żywą działalność społeczną. Jemu właśnie zawdzięczało Wilno słynne swoje wieczory i dyskusje literackie, on to zainicjował propagandę turystyczną Wilna w całej Polsce, on wreszcie był pierwszym, który wprowadził do radjofonji polskiej literaturę i pozyskał dla niej współpracę wszystkich najwybitniejszych pisarzy. Pruszyński tu właśnie dał się uwieść swej literackiej skłonności do ostrych kontrastów i maluje sylwetkę pisarza z tego okresu w barwach niesłychanie ujemnych i niesprawiedliwych, by uwydatniło się później tem dramatyczniej narodzenie się bohatera. Przedstawiając go jako grafomana, który pcha się między wybitnych pisarzy w gwałtowny sposób, Pruszyński niewątpliwie przesadził. Jego energiczną działalność organizacyjną w Wilnie, którą zresztą opisuje nie bez akcentu szczerego podziwu przedstawia jako akcję groteskowego dorobkiewicza, który sprowokował gniewne cichego, subtelnego i zasłuchanego w swą przeszłość Wilna. Niebawem też zaczęła się na niego nagonka w prasie, za pomocą złośliwych dowcipów, karykatur i artykułów. Wszędzie rozbrzmiewało słowo: "Niemiec, Niemiec, Niemiec..." Była to aluzja do pochodzenia wielkopolskiego owego pisarza, która wreszcie osiągnęła cel: rozentuzjazmowany dla Wilna przybysz musiał opuścić miasto i przeniósł się do Warszawy.

Pruszyński, który wykazuje w tym artykule jakąś dziwną ślepotę psychologiczną ze zdziwieniem opowiada, jak to później spotkał tego literata w Warszawie i dowiedział się, że mimo doznanych nieprzyjemności tęsknił on zawsze do Wilna choć w Warszawie powodziło mu się materjalnie świetnie. Nie bez zdziwienia też stwierdził, że po jego wyjeździe wilnianie zaczęli z żalem odczuwać jego nieobecność, gdy znowu całe życie kulturalne wróciło do dawnej ospałości. Ci co znali owego nieszczęsnego działacza wileńskiego lepiej, pamiętają jego naiwnie czystą, bezinteresowną i fanatyczną miłość do Wilna, tę miłość przybysza z zachodu, który upajał się bez pamięci polskością wileńskich murów i pięknem ich starych dziejów. W tym okresie życia bohatera, którego nazwisko będzie kiedyś wymawiane ze czcią, tak jak dzisiaj jest już wymawiane w Polsce podziemnej, mamy do czynienia raczej z polską wersją "Wroga ludu" Ibsena.

Drugi akt odbywa się w małym hoteliku w Paryżu. W rozmowie na temat różnych osób w kraju, padło również nazwisko owego pisarza. I oto — oczywiście — potwierdziło się: ów "Niemiec" wileński okazał się naprawdę Niemcem. Założył kawiarnię na Placu Napoleona w Warszawie, gdzie tłumnie bywają Niemcy, z którymi jest za pan brat, zarabia fantastyczne sumy — słowem zdrajca, renegat...

Do Londynu przyjechał przedstawiciel walczącej Polski podziemnej. I znowu jak w Paryżu rozmowy, wypytywania i dyskusje na tematy krajowe. Ktoś z towarzystwa wymienił w pewnym momencie nazwisko "renegata", który założył dla Niemców kawiarnię na Placu Napoleona. Nazwisko było wypowiedziane z pogardą i z obrzydzeniem. Przybysz z kraju spojrzał na rozmówcę z dziwnym chłodem w oczach a potem odpowiedział spokojnie: "Była to dla nas ciężka strata". W towarzystwie powstała pełna konsternacji cisza. Z opowiadania okazało się, że ów pisarz istotnie założył kawiarnię, że korzystając z znajomości języka niemieckiego nawiązał z Niemcami stosunki zażyłe. Ale równocześnie on to redagował wszystkie pisma podziemne, które docierały do Londynu a które budziły podziw zarówno wspaniałą, mądrą i nieugiętą treścią artykułów patrjotycznych jak i też doskonałą techniką dziennikarską. Ów wielki, anonimowy, intrygujący wszystkich dziennikarz — to był właśnie on — ten "Niemiec" z Wilna. "Ojczyzna," "Nasza Walka," "Do Zwycięstwa" — i nietylko te wspaniałe pisma, bo prawie wszystkie na terenie Polski były jego dziełem; jeździł od miasta do miasta, zakładał je po kolei, oddawał w inne ręce, by gdzieindziej założyć znowu nowe pismo. W ten sposób powstała ta najbogatsza, najbardziej imponująca w Europie sieć prasy podziemnej, która nazawsze pozostanie chlubą Polski.

On potrafił wszystko — mówił przybysz z Polski — jego przedsiębiorstwa (kawiarnie) powstały z niczego, a prosperowały doskonale. A ilu ludziom wartościowym dał w nich pracę! Ilu osobiście podtrzymywał! Jak umiał wydobywać z pod ziemi wszystko, co było potrzeba. Jaki kolportaż zorganizował! Czy wiecie, że raz całą instalację drukarską sprowadził z Niemiec? Z niemiecką wizą jeździł do Berlina, Wiednia, Essen! Nasi ludzie mieli jakieś naiwne, sztubaczko-dwójkowe metody konspiracji. On to wszystko wziął za łeb. On dopiero pokazał co to jest tajna organizacja.

W pewnej chwili w Londynie zauważyli, że pisma podziemne z kraju nadchodzą nieregularnie. Nastała złowróżbna, przerażliwa przerwa. Zrozumiano, że musiało stać się coś strasznego, że Niemcy nakryli tych wspaniałych, zakonspirowanych redaktorów. Istotnie, wśród tysiąca innych zaaresztowano również owego pisarza i organizatora pism. W więzieniu nie "odwalał" bohatera. Udawał nieszkodliwego półgłupka, śmiesznego durnia. Gdy Niemcy odprowadzili go na poligon pod Radomiem na rozstrzelanie, nie domyślili się, że mieli w ręku człowieka, z którego za pomocą tortur mogli próbować wydobyć niesłychane wiadomości o pracy podziemnej w Polsce. "Był prawdziwym wodzem — mówił przybysz z kraju — a padł jako żołnierz. Organizacja, którą stworzył, nie doznała żadnego uszczerbku."

Takiemu człowiekowi trzeba postawić pomnik w przyszłej Polsce — odezwał się ktoś z towarzystwa. Tak, a pomnik ten postawiony będzie w Wilnie — odpowiedział przedstawiciel Polski podziemnej i z pochodzenia wilnianin.

WACŁAW GRUBIŃSKI BYŁ SKAZANY NA ŚMIERĆ PRZEZ SOWIETY

Po wielomiesięcznej podróży a przede wszystkiem po paroletniej poniewierce w Sowietach przyjechał do Londynu Wacław Grubiński, znany dramaturg i nowelista. Los jego — godzien jest zaiste, aby zainteresowały się nim różne amerykańskie gazety, wysławiające haniebne filmy jak "Mission to Moscow" i propagujące idjotyczne książki o wolności sowieckiej, obliczone na dziecinną ignorancję czytelnika. Grubińskiego aresztowano wkrótce po zajęciu Lwowa przez Sowiety i oskarżono o jakieś zbrodnie przeciwrosyjskie na podstawie jego sztuki "Lenin", granej wkrótce po poprzedniej wojnie w teatrze Polskim w Warszawie. Sztuka ta, która nie miała zresztą większego powodzenia — była bardzo refleksyjnym i umiarkowanym djalogiem, dowodzącym prawdy, dziś dowiedzionej przez historję, że carat i Sowiety jest w gruncie rzeczy to samo. Grubińskiego zadenuncjował podobno, co ku hańbie polskiej literatury komunistycznej powinno być zapamiętane — poeta Putrament. Przed sądem dano Grubińskiemu adwokata z urzędu, który w szczególny, czysto sowiecki sposób zrozumiał swą rolę. Gdy bowiem oskarżony zaprotestował przeciw stosowaniu ustaw późniejszych niż zarzucane mu "przestępstwo", szczególny ten obrońca oświadczył: "to w Polsce może na to zwraca się uwagę, bo u nas nie".

W rezultacie tak bezstronnej rozprawy szybko skazano Grubińskiego na śmierć, którą to karę zamieniono mu później na 10 lat ciężkich robót z uzasadnioną nadzieją, że nie potrwa to długo. Stało się inaczej i Grubiński jest znów między Polakami, bogaty w doświadczenia, których niechże w interesie "prawdziwej demokracji" nie trzyma pod korcem i które powinny jego niewątpliwemu talentowi dodać nowej mocy. (ls)

CYKL SZOPENOWSKI ZYGMUNTA STOJOWSKIEGO

Zygmunt Stojowski daje w sezonie letnim w Juilliard School of Music w Nowym Jorku, dwanaście koncertów odczytowych, poświęconych twórczości Chopin'a

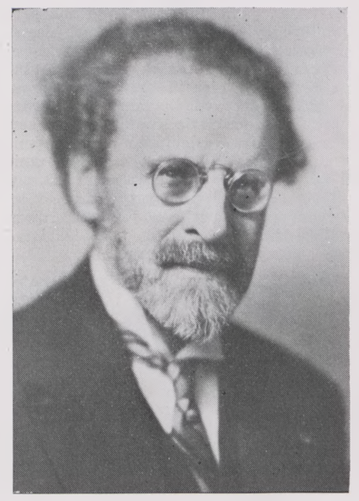

Stojowski, laureat Konserwatorjum Paryskiego, stykał się z żyjącymi jeszcze uczniami Chopin'a a następnie był uczniem i wieloletnim przyjacielem mistrza Paderewskiego, cykl więc jego mieć będzie walory tradycyjne i artystyczne o istotnem znaczeniu propagandowem.

Dostępny szerszej publiczności, obejmuje on sześć tygodni począwszy od 6go lipca, w ciągu których odczyty ilustrowane muzyką odbywać się będą we wtorki i piątki o godzinie 2:30 po południu, w sali Instytutu Muzycznego, 120 Claremont Avenue.

Abonentom służy przywilej bezpłatnego uczęszczania na wszystkie koncerty w szkole w ciągu letniego sezonu.

Polonja nowojorska, zarówno uchodźcy wojenni jak dawna emigracja, powinni tłumnie uczęszczać na tak niezwykle interesujący i pouczający cykl. Profesor Stojowski jest nietylko znakomitym muzykiem-twórcą, wykonawcą i muzykologiem. Jest on jednocześnie obywatelem niezwykle zasłużonym dla polskości w Stanach Zjednoczonych, inicjatorem całego szeregu prac i instytucji, które niosły pomoc Polakom i podtrzymywały w nich narodowego ducha.

Nadarza się dobra okazja, abyśmy doznając pięknych wrażeń artystycznych i pogłębiając swą wiedzę, okazali zarazem Zygmuntowi Stojowskiemu jak bardzo jesteśmy mu wdzięczni.

HUMORY, PLANY I OBIETNICE HITLERA

Z pośród neutralnych krajów europejskich poza Szwajcarją bodaj że najwięcej wiadomości z Niemiec przenika przez Turcję, z którą Hitler za pośrednictwem von Pappena usiłuje utrzymywać mniejwięcej poprawne stosunki. Z tureckiego posterunku obserwacyjnego w Konstantynopolu korespondent londyńskiego "Daily Express", Cedrick Salter nadesłał ciekawe informacje, portretujące Hitlera z ostatnich miesięcy. Ludzie, którzy ze względu na swą działalność dyplomatyczną mieli okazję widzieć ostatnio Hitlera, opisują go jako człowieka zdenerwowanego do najwyższych granic, gryzącego paznokcie i pijącego duże ilości słodkiego szampana. Informacje i opisy otrzymał Salter od ukrywającego swe nazwisko uczestnika ostatnich konferencji, które Hitler odbył z 4-ma swoimi satelitami: królem bułgarskim Borysem, węgierskim admirałem Horthy, rumuńskim Antonesco i marjonetkowym Pavelicem, "wodzem Kroacji".

Anonimowy informator Saltera mówi co następuje: "Jak gdyby śpiący sposób chodzenia Hitlera uwydatnia się obecnie jeszcze bardziej i tylko rzadko kiedy dostrzec można przebłyski dawnej wybuchowej energji. Jest rzeczą niezwykle typową rozmawiać z nim i widzieć rozbiegane na wszystkie strony oczy. Jego zainteresowanie tem "co myślą Anglicy?" przerodziło się w rodzaj obsesji..."

Tygodnik amerykański "Time" — zdaje relację z tego ciekawego reportażu angielskiego — stwierdza, że ta część opisu Hitlera nie wykazuje większych zmian w porównaniu z przeszłością. Fuehrer bowiem zawsze miał brzydki zwyczaj obgryzania swych paznokci, a ostatnio opublikowana w jednym z niemieckich tygodników fotografja wykazuje, że wygląda on zdrowiej i szczęśliwiej niż ranni żołnierze, którym ściskał dłoń. Natomiast zdaniem tygodnika "Time" ciekawsza jest ta część informacyj, zdobytych przez Saltera, która zajmuje się planami i obietnicami Hitlera Wygląda to tak:

Hitler na ostatnich konferencjach dał szefom państw bałkańskich szereg zapewnień i obietnic. Po pierwsze więc — ciągle cytujemy słowa informatora Saltera — Niemcy tego roku w totalnej ofensywie przeciwko Rosji będą się starali jeszcze raz i to już po raz ostatni zadać jakiś decydujący cios rosyjskiej potędze militarnej. W związku z tem wielkie ilości gazu trującego produkowane są w dwóch olbrzymich wytwórniach w okolicy Wiednia już od 6-ciu miesięcy. Gaz ten miałby być użyty tam gdzie nie możnaby innymi środkami uzyskać decydującego zwycięstwa. W wypadku jednak, gdyby Rosja nie mogła być decydująco zdruzgotana, Hitler jest przygotowany pod koniec miesiąca listopada roku bieżącego na ofiarowanie pokoju Rosji i to takiego pokoju, któryby był możliwy do przyjęcia dla Sowietów. Dodatkowo gotów on jest ofiarować Rosji zarówno w imieniu swojem, jak i Japonji, 10-letni pakt nieagresji.

Wreszcie Hitler zapewnił swych satelitów od których chce wydusić jak najwięcej armatniego mięsa, że aljancka inwazja na kontynent europejski w tym roku zostanie ograniczona do zewnętrznego koła obronnego "fortecy europejskiej."

Mając zwycięstwo z Rosją w garści, czy też pokój zawarty z nią przed świętami Bożego Narodzenia tego roku, — argumentował Hitler — niemieckie armje będą dostatecznie silne, by w nieskończoność utrzymywać obronę "festung Europa". I w ten sposób — zakończył swoją tyradę — Wielka Brytanja i Ameryka będą zmuszone do zawarcia pokoju kompromisowego.

KUPUJCIE ZNACZKI i BONDY WOJENNE

UNION PARTS MFG. CO., INC.

IGNACY, PAWEŁ i MIECZYSŁAW NURKIEWICZ, Właściciele

175 Ashland Place Brooklyn, N. Y.

Tel. TR 5-9811

FIVE DAY WONDER COURSE

Od poniedziałku do piątku — **po dwie** godziny dziennie. — Rano, popołudniu lub wieczorem. — Nauka pielęgnowania twarzy i ciała. — **Jak się należy** czesać. — Jak się ubierać, by wyglądać skromnie i elegancko.

Telefonujcie lub piszcie:

HELENA RUBINSTEIN
715 — 5ta AVENUE
New York City
Tel. Eldorado 5-2100

Wysiłek wszystkich lojalnych Amerykanów, niezależnie od ich pochodzenia, skierowany jest ku przyspieszeniu zwycięstwa Ameryki.

* * *

Tylko wspólnemi siłami przywrócony będzie trwały pokój na świecie.

* * *

W walce o lepsze jutro Stanów Zjednoczonych i Polski walczą Amerykanie polskiego pochodzenia.

* * *

Niesiemy im pomoc na froncie domowym — w naszych fabrykach i w naszem codziennem życiu.

* * *

ROBACZYNSKI MACH. CORP. OF AMERICA
326 TEN EYCK STREET
Brooklyn, N. Y.

DYPLOM EINSTEINA (Do art. na str. 1ej)

TYGODNIK POLSKI
POLISH WEEKLY

Redakcja i administracja:
806 Lexington Ave., New York City
Tel.: Regent: 7-4168

Wydawcy: Koło Pisarzy z Polski. Association of Writers from Poland.

Komitet redakcyjny: Zenon Kosidowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński. Józef Wittlin.

Prenumerata: mies. 40 cts — kwart. $1.20 — półr. $2.40 — roczn. $4.50.

W sprawie ogłoszeń prosimy porozumieć się z administracją.

W Detroit, Mich. sprawy "Tygodnika Polskiego" załatwia: Księgarnia Ludowa M. Żukowskiego, 5347 Chene Street — Tel. Plaza 9479.